Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI — Niedziela, dnia 23 stycznia 1938 r. — Nr. 4



Z KARNAWAŁU

W balowej sali — dawno już...
Myśmy się spotykali;
Pomnę bledziutkich parę róż,
W złocistych włosów fali...
Jako uroczy byłaś kwiat...
Wspomnienie — pierś mi pali...
Bóg — czy los — zbliżał — ludzie — świat,
Poemat ten przerwali!
Jam był poetą — piosnek zbiór
Tobiem niósł — z natchnień dali...
Zakrakał wnet filistrów chór,
Marzyć ci — zakazali...
A potem — wkrótce nadszedł ów
Oczekiwany — luby,
Majątek miał... ach — brak mi słów...
I z nim — zawarłaś śluby...
Migły lata — znowu nas
Na balu — zbliża życie...

. . . .

Zrzuciłaś obłok białych gaz,
Dziś — w czarnym aksamicie.
Jak zblakły obraz, w pięknych ram
Ujęciu — co ci chwalę,
Córkę prowadzisz — jedna z mam,
Na bal — w tym karnawale...
Patrzę z daleka — dawnych mar
Wspomnienie — smutkiem tłoczy...

. . . .

Jej fiołkowych źrenic czar...
Twoje — zapadłe oczy...
I gniew mną wstrząsa, złość i grom.
Przeszłość się we mnie żali...
Znów się zaczyna nowy tom —
Powieść — w balowej sali!...

B.

ADAM CZEKALSKI

16)

Milion w złocie

POWIEŚĆ

— To on panu dał ten środek — mówił Borowicz.

— Mniejsza o nazwisko, dość, że antidotum mam i pan nic mi nie może zrobić — odrzekł obojętnie Oleś.

— Mylisz się pan, teraz znowu odzyskałem nad tobą i wszystkimi innymi władzę.

— To czemu jej nie stosujesz?

— Nie chcę. Pan zginiesz w dniu, w którym ja zechcę i wtedy dowiesz się, że ów dzień będzie dniem mojego triumfu.

— Zobaczymy. A na razie idź pan do diabła i zostaw mnie w swokoju. Po co te ceregiele? Chcesz mnie zarznąć, zrób to od razu, albo nie przychodź do mnie więcej. Zawsze miałem pana za dżentelmena, ale widać się pomyliłem. Niby to jesteś pan człowiekiem mocnym, ale na razie ja tego nie widzę, natomiast słyszę prawie co drugi dzień pańskie przechwałki. Czy pan myślisz, że mi to zaimponuje?

— Jestem mocnym, a że tak jest, na sobie masz najlepszy dowód.

— Znęcać się nad bezbronnym potrafi każdy kiep i to nie jest bynajmniej wyrazem jakiejkolwiek mocy.

— Nim pan umrzesz, musisz dowiedzieć się o wszystkich moich zwycięstwach.

— Pyrhusowych! Nie sądziłem, że pan jednak jest tak mizernym pionkiem etycznie. Po co te wszystkie komedie? Po co to ogłaszanie mi nieustannie, że wczoraj tego a tego, a jutro zamierzam znowu wykonać to lub tamto?

Borowicz w milczeniu przeszedł się przez pokój, dość gustownie urządzony, w którym od pierwszego dnia swojej rozmowy z Borowiczem, umieszczony został Barłamp. Był zamyślony i jakby jakiś niespokojny, co Oleś natychmiast prawie spostrzegł.

— Wiesz pan co, panie Borowicz — odezwał się znowu Oleś — zaprzestań pan swoich knowań, a ja panu zapewniam całkowite bezpieczeństwo. W przeciwnym razie, zanim nadejdzie ostatni termin pańskiego zwycięstwa, znajdziesz się pan w ulu, a to zapewniam pana, bardzo niemiłe locum dla takiego dżentelmena, jak pan.

Borowicz spojrzał na swego jeńca wzrokiem zdziwionym i drwiącym.

— Daję panu na to moje słowo, a wierz mi pan, że na rynku łódzkim słowo to ma swój efektowny walor u władz.

Mister John znowu zaczął na nowo chodzić tam i z powrotem po pokoju, nie zwracając uwagi na słowa Barłampa, który teraz drwił do woli z Borowicza, nazywając go dżentelmenem-włamywaczem i wykształconym rzeźnikiem, próbując wyprowadzić z równowagi tego nad podziw opanowanego człowieka.

Ale Borowicz najmniejszej uwagi nie zwracał na te drwiny. Mózg jego w tej chwili pracował energicznie nad rozmaitymi sprawami, które zaczynały go mocno niepokoić. Prawda, wynajął był człowieka pewnego, który miał wykraść inżynierowi Soreckiemu jego antidotum przeciwhipnotyczne, ale czy mu się to uda? O tym Borowicz nie wiedział, chociaż już a priori



Symbole wojny (samolot, czołg, bomba) jako aktualna reklama domu towarowego w Tokio.

przechwalał się Barłampowi. A jeśli nawet uda się to przedsięwzięcie, to czy przeciwnik jego nie posiada jakiegoś innego środka? Tego mister John nie wiedział. Rozmyślania te zajęły mu dłuższy czas, w końcu skierował się ku drzwiom, na progu raz jeszcze obrzucił nienawistnym spojrzeniem Barłampa i trzasnąwszy drzwiami, znikł za nimi.

Kiedy następnie wieczorem Borowicz siedział u siebie w mieszkaniu przy Piotrowskiej, Dario wprowadził jakiegoś człowieka wyglądającego na zbója lub księżycowego kawalera z Bałut.

— Czego chcesz? — spytał Borowicz, tego wieczora więcej zdenerwowany, niż kiedykolwiek przedtem.

— Przychodzę od „Lalusia" — odrzekło indywiduum.

Borowicz ożywił się natychmiast.

— Gdzie on jest? Dlaczego sam nie przyszedł?

— Chory jest — policja go postrzeliła. Przysyła mnie z tym oto znakiem.

Indywiduum podało ozdobny żetonik z kości słoniowej, na którym wyryte były jakieś znaki.

I cóż? I jakże wyprawa? — ożywił się natychmiast mister John.

— Udała się, ale nie całkowicie. Pojechaliśmy za Serockim i włamaliśmy się do jego mieszkania, zabraliśmy tę puszkę, o której nam pan mówił, a właściwie o której mówił pan „Lalusiowi", ale gdyśmy już opuszczali willę, spostrzegł nas policjant i zaczął ścigać. W pościgu tym Laluś został ranny, a ja, zdążywszy zabrać jeszcze od niego puszkę i ten znak, zbiegłem.

— Gdzie ta puszka, dawaj ją!

— Nie mam — odrzekł krótko człowiek.

— Jak to nie masz? Gdzie ją podziałeś?

— A bo to, widzi pan, to cała historia. Przyjechałem szczęśliwie do domu i zmordowany okrutnie, położyłem się spać, myśląc sobie, że przecież i tak będzie czas odnieść panu to cacko później. I tu właśnie nastąpił krach. Rozbierając się, nie zauważyłem, że pudełeczko z proszkami wypadło na podłogę. Kiedym zasnął, chłopak mój znalazł je i wyniósł z domu, odsprzedając je koledze, swemu rówieśnikowi za jakąś tam inną zabawkę.. Kiedym wstał, narobiłem wrzawy i piekła, aż się całe Bałuty trzęsły, chłopakowi wyłoiłem skórę, co się zowie, a potem zacząłem szukać tego cacka, ale przepadło ono jak kamień w wodzie.

— Bydlaku! — wrzasnął Borowicz. — I z tym ośmielasz się przychodzić do mnie po zapłatę?

— Czyż ja temu jestem winien? Ot, omen diabelski i tyle. Fatalna była ta nasza wyprawa, panie, diabelnie fatalna: przyjaciel ranny i w rękach policji, puszka zginęła, a teraz pan mi wymyśla i odmawia słusznie należnego mi zarobku.

Borowicz przeszedł się raz jeszcze i drugi przez pokój. Potem przystanął przed włamywaczem i spojrzał mu mocno w oczy.

— Nie łżesz?

A cóżby mi z tego przyszło? — odrzekł obojętnie człowiek. — Że na miejscu byliśmy, żeśmy puszkę zabrali i parę fajgli, jakie nam pod rękę wpadły, aby upozorować rabunek, o tym pan może przeczytać w dzisiejszych dziennikach.

Mister John mruknął coś pod nosem i sięgnął ręką do biurka. Otworzył je, szukał czas jakiś czegoś tam, ukradkiem tylko obserwując swojego gościa, poczem rzucił mu kilka monet srebrnych i zauważył:

— Ale o tym ani słowa, rozumiesz?

— Tak, panie.

— I nikomu nie wspominaj o żadnej puszce i o żadnym włamaniu, ani o mnie, jeśli chcesz żywym chodzić po tym pięknym świecie.

— To się wie, panie.

— No, to idź sobie.

Ale człowiek zawahał się jakby na chwilę, a ciekawe jego oczy, ruchliwe i żywe, błyskawicznie obiegały cały pokój.

— Czego? — spytał krótko Borowicz.

— Mojego milczenia może pan być pewnym, o to nie ma obawy. Ale... gdyby mnie pan kiedy potrzebował...

— Dobrze, dobrze, jeżeli będę cię potrzebował, wiem, gdzie cię szukać. A tymczasem uwolnij mnie od swej obecności.

— Kłaniam się panu doktorowi.

Dario zabrał włamywacza i poszedł ku drzwiom wyjściowym.

— Słuchajno, salcesonie szpikowany — zagadał w pewnej chwili włamywacz do Hindusa — lubisz ty, naszą wódziunię? He? Nie miałbyś ochoty ze mną wypić po kubełeczku najoryginalniejszej pod słońcem czyściuchy?

Hindus nawet nie drgnął i nie zwrócił najmniejszej uwagi na te słowa.

— Czegóż nie odpowiadasz, bamboszu przegniły?

— Twoja iść doma, prędko-prędko iść doma — huknął mu nad uchem służący.

— Czego się gniewasz nadobna róźyczko Indii? Cóżeś to ty lepszego, żebyś odmawiał towarzystwa porządnemu włamywaczowi?

Hindus zatrzymał się raptem i spojrzał bardzo ciekawie na włamywacza, a czarne i krzaczaste jego brwi uniosły się do góry, w zdziwieniu niezwykłym. Włamywacz zmieszał się nagle i niemal z pośpiechem zaczął iść ku wyjściu.

— Twoja poczekać! — huknął rozkazująco Hindus, zagradzając mu drogę.

— Czego? — warknął groźnie włamywacz. — Odkinaj się bracie, bo majchrem zawadzę cię tak w bebech, że cię rodzona matuchna nie pozna.

— Help! Help! Help! — wrzasnął naraz Hindus i rzucił się na włamywacza, ale ten teraz dopiero pokazał co umie. Uskoczył gwałtownie jeden krok do tyłu i następnie kropną głową z całej mocy w brzuch Dario. Hindus jęknął, zachwiał się i padł na kokosowy chodnik bez ruchu. Włamywacz skoczył ku drzwiom, odsunął zatrzask, odłożył łańcuch, przekręcił klucz i runął po schodach na dół. Biegnąc, słyszał jeszcze za sobą jakiś ruch i rwetes w mieszkaniu, ale nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

Poderwany z miejsca wołaniem Dario, Borowicz wybiegł na korytarz, ale zobaczył tu teraz tylko nieruchomo leżącego służącego, nie dającego najmniejszego znaku życia. Szybko podniósł go i zaciągnął do bocznego pokoiku, gdzie zabrał się natychmiast do jego cucenia.

Włamywacz natomiast, zbiegłszy na ostatnią kondygnację schodów, zerwał perukę z głowy, odkleił małe, czarne wąsiki i otarłszy całą twarz mokrą chustką, którą miał w kieszeni, wolno wyszedł na ulicę. Przekroczył jezdnię i znalazłszy się po drugiej stronie, wszedł w pierwszą spotkaną bramę.

— Kulka! — szepnął komisarz Krajewski.

Rzekomy włamywacz mruknął tylko coś w odpowiedzi i poszedł dalej, a tuż za nim podążył Krajewski. Dopiero gdy Kulka wsiadł do taksówki i ruszył do Wydziału Śledczego, Krajewski zawrócił i wszedłszy w boczną ulicę, kazał czekającemu tu wywiadowcy sprowadzić drugą taksówkę i obaj pojechali za „włamywaczem".

— Gadaj pan zaraz, jak i co? — zawołał Krajewski, wpadając z miejsca na Kulkę, który wycierał na twarzy ostatnie ślady charakteryzacji.

— Wszystko odbyło się doskonale i zgodnie z naszymi przewidywaniami — odrzekł agent. — Ale na samym końcu o mało nie wpadłem.

— No? Po jakiemu?

— Poznał mnie służący Borowicza.

— Niemożliwe. Przecież on pana na oczy chyba w życiu nie widział?

— Przeciwnie, musiał mnie widzieć już kiedyś, co mi nasuwa myśl, że byłem śledzony przez szanownego mister Johna. Kiedy bowiem znaleźliśmy się obaj w korytarzu, zagadałem do niego, proponując mu wypitkę. Grałem na zwłokę, aby dobrze rozpatrzeć się w rozkładzie mieszkania. Wtedy ten diabeł przyjrzał mi się uważnie i rzucił się ku mnie, wołając: „help! help! help!" Ja jednak dałem mu „byka" w brzuch i zwiałem po schodach, tylko grzmiało.

Krajewski pokiwał z niezadowoleniem głową.

— Stało się źle, bardzo źle — rzekł — No, ale już się to naprawić nie da, więc musimy całą siłą iść naprzód, aby sprawę całą możliwie najszybciej zakończyć. Gdzie pan ma pigułki Soreckiego?

— Zostawiłem je w moim biurku.

— Daj mi je pan.



Na przyjęcie żony następcy tronu greckiego, Fryderyki Luizy z Brunświku, ulice Aten przybrały uroczysty wygląd.

Kulka poszedł do swojego pokoju i długo jakoś nie wracał, a gdy się następnie ukazał, miał taki dziwny wyraz twarzy, że Krajewski od razu zwrócił na niego uwagę i zapytał szybko:

— Cóż tam znowu?

— Panie komisarzu... to niepojęte... pigułki zniknęły.

— Nie pleć pan byle czego! — obruszył się komisarz. — Jak to — zniknęły?

— Nie ma ich w moim stoliku.

Krajewski bez słowa pobiegł do biurka Kulki. Wysunął szufladę, przewrócił papiery do góry nogami, zbobrował drugą i trzecią szufladę, ale pudełeczka nie znalazł. Wszelki ślad po nim zaginął.

— Psiakrew! Co się tu dzieje? — wrzasnął cały purpurowy z gniewu. — Kto tu gospodarzy w tym biurze, u stu najjaśniejszych piorunów!

Wszyscy milczeli, lękając się jeszcze bardziej rozgniewać srogiego szefa.

— Czemuż milczycie? Dlaczego żaden z was jednego słowa nie wykrztusi z gardła?

— To jest naprawdę niepojęte! — odważył się Kulka na pierwsze słowo.

— Co niepojęte? Jakto niepojęte? — zawołał Krajewski. — Tu nie ma żadnych cudowności, nic niepojętego. Tu ktoś buszuje po moim biurze, jak u siebie w domu. Niedawno temu ktoś sfałszował raport posterunkowego Kulpiecia, teraz zniknęła puszka, niedługo może samego pana dyżurnego wyniosą z tego biura, a nikt niczego nie zobaczy! Od czego wy tu wszyscy jesteście?

Krajewski był gniewnym do najwyższego stopnia. Biegał po pokoju wywiadowców, klął, wymyślał, pomstował, kazał przeszukać całe biuro od góry do dołu i w końcu zapowiedziawszy, aby za każdą cenę puszka została odnaleziona, trzasnął drzwiami i poszedł do swojego gabinetu. W poczekalni zastał Icka Bulwę i „Lalusia".

— Czego tu? ofuknął ich.

— Pan komisarz kazał nam przyjść.

— Naprawdę?... A, prawda. Poczekajcie tu chwilę.

Wszedł do siebie, zatrzasnął drzwi i usiadł ciężko przy biurku. Z zadumy zbudził go dzwonek telefonu. Ujął za słuchawkę i rzucił gniewnie „halo" w tubę, nasłuchując. Ale już w następnej chwili ożywił się bardzo i zaczął pilnie słuchać, powtarzając tylko jednostajnie: „tak, tak, tak, tak"...

Skończywszy rozmowę, Krajewski szybko powstał i podszedłszy do drzwi, huknął:

— Jestem, panie komisarzu.

Obaj przestępcy weszli do gabinetu.

— Słuchajno, mój Bulwa — zaczął Krajewski łagodnie — zasłużyłeś sobie dzielnie u mnie, żeś mi dostarczył przez Lalusia te proszki i za to otrzymasz stosowną nagrodę, nie licząc tych pieniędzy, które zapłacił Borowicz za przysługę. Te pieniądze pójdą do podziału między was obu. Ale na tym nie koniec.

— Jesteśmy na usługi pana komisarza skłonił się niezgrabnie Laluś.

— Słuchajcież, moi chłopcy, o co was chcę prosić. Znacie pana Barłampa młodszego? Pana Olesia?

— Ach, się wi! Bo to raz zalał nam sadła za skórę?

— Mniejsza, dzisiaj potrzebuje on waszej pomocy i, myślę, nie zapomni wam tej przysługi. A pamiętaj także o tym, Bulwa, że to za moim wstawiennictwem zmieniono ci areszt na dozór policji i jesteś na wolności.

— Stokrotnie jestem wdzięczny panu komisarzowi za to.

— Słuchamy, słuchamy... — zwrócił Laluś uwagę na jedne rzeczy.

— Pan Barłamp zniknął, porwany przez ludzi Borowicza, czy też przez niego samego — objaśniał komisarz — i został gdzieś ukryty. Musicie mi się postarać w ciągu najbliższego czasu odnaleźć to miejsce, gdzie pan Barłamp się znajduje. Rozumiecie? Sprawa jest bardzo pilna.

— Postaramy się, panie komisarzu.

— No, to idźcież zaraz i zabierzcie się do roboty.

— A kiedy mamy się zjawić u pana komisarza?

— Każdej chwili, gdy tylko będziecie mieli jakąkolwiek wiadomość o miejscu pobytu pana Barlampa.

Bulwa szurgnął nogami, Laluś zgiął się w jakimś pokracznym ukłonie i obaj wyszli z gabinetu. Po chwili zjawił się na ich miejsce Kulka.

— I cóż? Znalazł pan? — zapytał Krajewski surowo.

Agent wzruszył ramionami.

— I pan uważa, że wszystko w porządku?

— Pan komisarz wiedział przecież, że puszkę zamknąłem w szufladce przed pójściem do Borowicza i nie rozumiem, co mogło się stać.

— Słuchajno pan, panie Kulka, przecież i panu powinno podpaść, że nikt obcy nie mógł tego cacka zabrać z pańskiej szuflady.

— To wykluczone.

— A więc kto?

— Ktoś miejscowy, ktoś z personelu.

— Ale kto? Kto?...

— Gdybym ja to mógł wiedzieć.

— Zajmij się pan zbadaniem tej sprawy — rzucił ostro komisarz. — Cicho, bez hałasu, nieznacznie, roztocz pan opiekę nad wszystkimi.

— Rozkaz, panie komisarzu.

— A bądź pan w pogotowiu, bo może udamy się po Barlampa.

— Czy pan komisarz ma jakie dane?

— Będę miał — może dziś, może jutro.

Agent skłonił się i opuścił gabinet.

XVI.

Ostatnie stawki.

Borowicz miał jeszcze trzy dni czasu do ostatecznego terminu, wyznaczonego mu przez Hindusów. A im bliższym był ten termin, tym większy niepokój go ogarniał. Lila, pouczona przez Krajewskiego, nie opierała się już, nie okazywała swojej jawnej animozji, ale gdy Borowicz żądał ustalenia ostatecznego terminu ślubu, wynajdywała zawsze coraz to nowe przeszkody. W końcu mister John miał dość tej komedii i tego dnia udał się do mieszkania Krupińskich, aby ostatecznie rozmówić się z córką, jak i z matką. Przyjęto go tam dość ciepło, nie okazując najmniejszego niezadowolenia.

— Jakże się czujesz, moja maleńka? — tymi słowami powitał Borowicz Lilę, uśmiechając się niewyraźnie i jakby jakoś smętnie.

— Doskonale — odrzekła. — Ale, ale... mam dla ciebie nowinę — zawołała naraz Lila.

Borowicz spojrzał na nią ciekawie i spytał:

— Czy doszłaś w końcu do wniosku, moja maleńka, że czas zakończyć nasze narzeczeństwo małżeństwem?

— Czemu ci tak śpieszno? Czyż nie dobrze nam tak z sobą?

— Nie lubię szczęścia połowicznego.

— Ależ chłopczyku, miej trochę cierpliwości.

— Okazałem jej więcej, niż sam przypuszczałem. Moja maleńka, czemu się drożysz? Ja już, niestety, niedługo muszę wyjechać z powrotem do Indii, gdzie powołują mnie interesy i pragnąłbym zabrać ciebie ze sobą, jako moją najmilszą i najukochańszą żoneczkę... Ale à propos — cóż za nowinę miałaś mi zwiastować?

Lila spochmurniała na jeden przelotny moment, poczem podniosła swoje wielkie oczy na Borowicza i rzekła krótko:

— Stadnicki depeszował o swoim przyjeździe.

— Stadnicki? Przecież on u ciebie już moriturus.

— Pragnie rozmówić się ze mną po raz ostatni.

— A ty? Zapewne odmówiłaś mu?

— Dlaczego? Przez wzgląd na nasze dawniejsze stosunki, powinnam go wysłuchać.

Borowicz zagryzł usta z niezadowolenia i jednocześnie zrozumiał, że przyjazd Stadnickiego zagraża mu bezpośrednim niebezpieczeństwem. Przekonał się już, że człowiek ten wymknął się spod jego kontroli, a jakaś obca wola zaczyna paraliżować wszelkie jego poczynania. Nieubłagany, nieprzekraczalny termin wyznaczony mu przez delegatów rady kapłańskiej, zbliżał się, jak dzień sądu. Jego władcy indyjscy z Kalkuty — przynaglali do pośpiechu. Zrozumiał, że i tak, stracił bardzo dużo czasu bezproduktywnie, traktując kaprysy Lili tak pobłażliwie. I zrozumiał rzecz drugą, a mianowicie, że jeżeli chce wygrać ten bój o milion w złocie po zmarłym gdzieś tam w Indiach Krupińskim, o którym w swoim czasie opowiedział tak ładnie skomponowaną bajeczkę obu paniom Krupińskim, musi stoczyć ostatni, bezpardonowy bój zarówno z samą Lilą, jak i z tymi wszystkimi, którzy mu na drodze do szczęścia próbowali stanąć. Dlatego naprzód zapytał:

— Kiedy pan Stadnicki zapowiedział swoją wizytę?

— Na jutro o godzinie jedenastej z rana.

— Więc wraca gdzieś w nocy dnia dzisiejszego?

— O godzinie 1,20 w nocy będzie na dworcu.

Przelotna jakaś zaduma osiadła na twarzy mister Johna. Odpędził ją jednak prawie natychmiast i następnie zwrócił się do Lili.



W święto Trzech Króli ogólnie lubiani policjanci, regulujący ruch w Rzymie, zostali obdarowani różnymi podarkami.

— Zanim rozmówisz się z panem Stadnickim, pragnę jednak, abyś uprzednio dała mi ostateczną, wiążącą odpowiedź, czy godzisz się, aby jutro odbyły się nasze zapowiedzi za indultem, a w poniedziałek nasz cichy ślub?

Lila drgnęła niespokojnie.

— Czemu ci tak śpieszno, Janku?

— Czy nie dosyć czekałem?

— Mój drogi chłopczyku, jeżeli kochasz mnie prawdziwie, jak mnie o tym zapewniasz, odłóżmy jeszcze ten termin.

— Niestety, nie mogę. Za kilka dni muszę już być w drodze do Indii, a nie chcę odjeżdżać bez ciebie. Jest to mój punkt honoru, który ty, mam nadzieję, zechcesz uszanować.

— Ach, po co ten pośpiech. Jeszcze znajomi pomyślą, że...

— Nic mnie nie obchodzą znajomi i nie mam potrzeby liczyć się z ich opiniami.

— Niestety jednak — ja liczyć się muszę.

— Lilu — po co te zwłoki? Po raz ostatni proszę cię o zgodę.

— A gdybym się nie zgodziła?

— Zmuszony będę użyć innych środków, a wiesz chyba, że byłoby mi z tego powodu ogromnie przykro, boć tu o ciebie chodzi.

— Nie, nie, daruj mi, ale... zanim nie rozmówię się z panem Stadnickim, nie mogę decydować w tej sprawie.

— On przecież porzucił cię, zerwał z tobą.

— Tak, tak, to prawda, a jednak... Tyle lat kochaliśmy się, że sentyment do niego wciąż we mnie jeszcze pozostał. Mówiłam ci to już nieraz i ty godziłeś się z tym.

— Ale dzisiaj nie chcę się już z tym godzić i dlatego żądam kategorycznie i najbardziej stanowczo, abyś wyraziła swoją zgodę na moją propozycję.

— Nie, nie, jeszcze nie... — odrzekła prosząco Lila.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

WOJCIECH HOLM

66)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Egon zapłacił spiesznie swój rachunek i dał kelnerowi złotówkę, aby się zajął Leną. Potem kazał przywołać fiakra i odjechał z Gretą.

Gdy Greta wychodziła z restauracji, twarz jej promieniała triumfem. Najgoretsze życzenie jej się spełniło. Miała znów bogatego kochanka.

ROZDZIAŁ CCXLV

Diamenty Malajczyka

Prosimy szanownych Czytelników, przekroczyć znów Ocean i podążyć za nami do samotnej zagrody, nad brzegami Missisipi, którąśmy dość dawno opuścili.

Gdy ciche, nieśmiałe pukanie Zuzi zbudziło Mayera owej nocy z ponurej zadumy, wniósł skruszoną swą żonę na rękach do izby i położył ją na swe łóżko.

Zuzia tak była wyczerpana, że się wprost ruszyć nie mogła.

Mayer zdjął z jej nóg zabłocone trzewiki, rozniecił ogień, nastawił kociołek z wodą na herbatę, wziął lampę z okna i postawił ją na stole, a potem zaczął się krzątać około sporządzenia kolacji dla Zuzi.

Kobiece to zajęcie stało w dziwnej sprzeczności z olbrzymią, męską jego postacią.

Od czasu do czasu przerywał swe zajęcie i rzucał trwożnie spojrzenia w stronę bladej, wynędzniałej kobiety, która tak zupełnie niepodobną była do dawnej zdrowej, kwitnącej Zuzi.

Serce mu się ściskało na widok żółtej, wychudłej twarzy i zdartej, wyszarzałej jej sukni. Zamiast wyrzutów i zasłużonej kary za niewierność, rzekł pocieszającym i współczującym tonem:

— Biedna Zuziu! Jak okropnie musiało ci się powodzić! Nie martw się jednak, bo przecież bieda twoja już się skończyła. Nie potrzebujesz się też wstydzić przed sąsiadami, bo Brinkmanowie i Trorenzowie daleko stąd się wyprowadzili, a my jesteśmy jedynymi mieszkającymi tu ludźmi na kilka mil wokoło. Widzisz, zostałem tu zupełnie sam, aby na ciebie czekać. Mój anioł opiekuńczy ani na chwilę mnie nie opuszczał, a słodki głos jego ciągle mi szeptał: Wytrwaj tylko, a ona wróci.

Słuchając to Zuzia, zakryła twarz obu rękami i wybuchła głośnym, spazmatycznym płaczem.

— Kochany Józefie — wyjąkała wreszcie — niegodnam twej, miłości i dobroci. Podeptaj mnie nogami tak, jak na to zasługuję, bo jestem najnieposzczciwszą kobietą pod słońcem. Złamałam ci wierność i oszukiwałam cię na wszelkie możliwe sposoby. Nie jestem już nawet twoją żoną, bo rozwiodłam się z tobą, aby wyjść za innego, ale do tego na szczęście jeszcze nie doszło!

Rudy Mayer zbladł śmiertelnie, słysząc tę zapowiedź. W porywie wściekłości i szału złapał za topór i pogroził nim biednej, złamanej kobiecie.



Obraz z walk na Dalekim Wschodzie. Artylerja japońska z rozmontowanym działem na plecach, przechodzi przez wąski most.

— Tak, zabij mnie Józefie — zawołała Zuzia, zwracając czarne swe oczy bez bojaźni, na zeszpeconą gniewem twarz męża — zabij mnie, ja niczego lepszego nie jestem warta. Ale, jeśli choć iskierka dawnej miłości dla mnie w sercu twym tli, to daj mi dobre słowo jeszcze nim mnie zamordujesz. Popatrz, tyle mil mnie od ciebie dzieliło, a ja nie miałam spokoju ani wytchnienia tak długo, aż do ciebie nie wróciłam, aby uzyskać twe przebaczenie. Daj mi jedno dobre, zwykłe słowo, a umrę spokojna i zadowolona.

Po ciele olbrzyma przeszedł jakby dreszcz. Twarz ściągnęła się kurczowo, usta zadrgały, jak gdyby od wstrzymanego łkania. Topór wypadł mu z rąk, a on sam wybiegł jak szalony z izby i znikł w ciemnościach.

Zuzia chciała się podnieść i pobiec za nim, ale padła bezsilnie na powrót na łoże, wołając tylko słabym głosem męża swego po imieniu.

Ale on tego nie słyszał. Przeszło godzinę przechadzał się w ciemności, aby zimnym powietrzem nocnym ochłodzić wrzącą krew, wreszcie skierował kroki w stronę domu. Przed drzwiami zatrzymał się, aby ściągnąć duże, niezgrabne buty i mruknął:

— Może zasnęła.

Ostrożnie otworzył drzwi i wsunął się do izby. Ogień już przygasał, okazując tylko gdzieniegdzie pod popiołem żarzące się jeszcze węgle; ale lampa świeciła się jeszcze jasno i rzucała łagodne swe światło na bladą twarz niewieścią.

Z poczuciem litości, zmieszanej z gniewem i pogardą spoglądał Mayer na swą żonę. Zasnęła płacząc i duże łzy wisiały jeszcze u czarnych jej rzęs.

— Jaka blada i wynędzniała — mruknął on do siebie — ani cienia dawnej piękności.

Ku wielkiemu zdziwieniu uczuł on, że gorąca jego miłość dla Zuzi, zupełnie w sercu jego zamarła. Zabiło, stłumiło ją zeznanie Zuzi. Mógł się jeszcze litować nad grzesznicą, mógł jej wspaniałomyślnie przebaczyć, ale nie mógł jej więcej kochać.

Myślał on, że Zuzia go opuściła, bo jej się samotne życie na tej pustyni sprzykrzyło, ale przypuszczał, że poczciwie na życie zarabiać będzie.

Od czasu do czasu nasuwały mu się pewne wątpliwości, gdy sobie przypominał jej zapatrywania i niezbyt silne zasady. Pocieszał się jednak myślą, że Zuzia lubiła się bawić, ale w gruncie rzeczy nie była złą.

Jak się dobrze w obcym domu napracuje i pozna co to bieda, to wróci — myślał Mayer — i czekał cierpliwie.

Lecz teraz Zuzia sama przyznała się do winy, przez co wytworzyła się przepaść dzieląca ją od męża.

Wzrok Mayera zdawał się wywierać magnetyczną siłę na śpiącą kobietę, bo otworzyła ona niebawem oczy. Wyciągnęła do niego wychudłą swą rękę i patrząc na niego błagalnie, szepnęła:

— Wybacz mi, Józefie!

On dał jej milcząc swą ciężką prawicę, którą ona gorąco do ust swych przycisnęła, a potem patrząc nieśmiało i błagalnie na niego, rzekła:

— Pozwól, abym była twą służebnicą! Patrz na mnie, Józefie, śmierć mi na czole wypisana. Nie będę już długo twej dobroci nadużywała. Nie odtrącaj mnie więc od siebie, i daj mi umrzeć pod swoim dachem, a potem pogrzebaj mnie w lesie, niedaleko twej chatki.

— Nie mów o śmierci, jesteś przecież jeszcze tak młoda — pocieszał ją Mayer dobrotliwie — musisz być głodna i spragniona. Rozniecę ogień i sporządzę ci kolację.

— Dziękuję ci, Józefie, ale nie jestem głodna — rzekła Zuzia, trzymając zawsze jeszcze rękę swego męża i patrząc błagalnie na niego.

Gdzież jej oczy pierwej były? Czyż ten silny, olbrzymi mężczyzna nie był obrazem piękności i zdrowia? Nawet jego rude włosy i broda, których dawniej tak nie znosiła, wydawały jej się teraz pociągające i niezwykłe!

Dziwny zbieg okoliczności! Jak długo Mayer szalał za swoją żoną, miała ona dla niego tylko chłodną obojętność. Pamiętała każde szorstkie słowo, a objawy dobroci jego przyjmowała, jako hołd sobie należny, nie czując dla niego najmniejszej za to wdzięczności.

Teraz zaś przeciwnie. Gdy Zuzia poczuła wzrastającą dla niego miłość, spostrzegła z goryczą, że miłość jego dla niej zagasła.

Pocałowała go znów w rękę i rzekła:

— Dobranoc!

— Nie całuj mnie w rękę, Zuzio, nie jestem księdzem — rzekł Mayer — jak nie chcesz jeść, to śpij! Jutro rano dalej pomówimy.

Zuzia znów spojrzała na niego błagalnie i szepnęła:

— Czy nie dasz mi całusa, Józefie? Jednego choćby tylko!

— Nie — odpowiedział Mayer stanowczo — nigdy cię więcej nie pocałuję! Nie wspomnę nigdy o przeszłości, Zuzio; nie będę cię łajał, ale kochać cię więcej nie mogę!

W odpowiedzi na to zaczęła Zuzia żałośnie szlochać, ale Mayer nie zwracał



Ogólny widok słynnego z zaciekłych walk Teruelu w Hiszpanii.

na to uwagi. Zgasił lampę, rozebrał się i położył się spać.

Gdy się nazajutrz obudził, spostrzegł ze zdziwieniem, że Zuzia była już ubrana i krzątała się koło kuchni.

Piękne jej włosy były splecione w dwa warkocze i spuszczone przez plecy. Blada jej twarz zarumieniona była od ognia, a nieśmiałe, uprzejme jej „dzień dobry" przypomniało Józefowi pierwsze, szczęśliwe dni ich małżeństwa.

— Już przy pracy? — zawołał Mayer i zaczął się ubierać. Ale jakże się zdziwił, zobaczywszy starannie wstawioną łatę na rękawie surduta, w miejscu, gdzie wczoraj jeszcze była wielka dziura! Buty jego były starannie oczyszczone, a u kamizelki przyszyte wszystkie guziki.

Zuzia musiała bardzo wcześnie wstać, skoro to wszystko zrobiła. Co za zmiana w niej zaszła!

Mayer przypomniał sobie, jakim śpiochem ona dawniej była, jak niechętnie brała igłę do ręki i jak niedbale i niechętnie wszystko robiła, gdy on ją łajaniem do tego zmuszał. Popatrzył teraz uważnie na łatę. Nie była ona jeszcze arcydziełem, ale poznać było staranność i dobrą wolę.

— Jak pięknie połatałaś mój surdut — pochwalił ją Mayer.

— I śniadanie już gotowe — rzekła Zuzia, stawiając imbryk z kawą na stół — chleb także dobrze przypieczony, tak jak ty to lubisz!

To rzekłszy, zdjęła patelnię z ognia i wyłożyła z niej kukurydziane placki na miskę, po czym położyła świeży chleb obok swego męża.

— Ile nierogacizny masz teraz? — zapytała.

— Siedm sztuk — odpowiedział Mayer, nalewając sobie kawę i słodząc ja cukrem roślinnym — ale mimo wszelkich starań, porządnie utuczyć ich nie mogę. Mam zaledwie tyle tłuszczu, ile dla mnie samego potrzeba. Pójdę zaraz ubić jednego wieprza, bo nie mamy już ani kawałka mięsa w domu.

Słysząc to, wyszła Zuzia milcząc. Po dłuższym czasie wyszła zadyszana z jednym cebrem wody.

— Po co to? — spytał Mayer marszcząc brwi.

— Nie mogłam więcej, jak jeden ceber przynieść — uniewinniła się Zuzia, która męża swego nie zrozumiała.

— Cóż u licha myślisz, że ja ci każę dwa cebry ciągnąć? — oburzył się Mayer. — Nie powinnaś się nawet była do tego brać, bo to za ciężka robota na twoje siły. Ja sam przyniosę wody, potrzebnej do sparzenia wieprzaka. Teraz ty siadaj do stołu i jedz.

— Czy ty już masz dość? — spytała Zuzia nieśmiało.

Mayer, który miał zawsze wyborny apetyt, wypił pół imbryka kawy i zjadł niezliczoną ilość placków kukurydzianych ze słoniną. Obcierając sobie rękawem gębę, rzekł:

— Tak, jestem już zupełnie syty!

Potem wyszedł do swej pracy, nie zważając wcale na Zuzię.

Ona popatrzyła za nim załzawionymi oczyma.

— Mogłam być tak szczęśliwa — szepnęła — lecz sama swe szczęście podeptałam.

Nalała sobie garnuszek kawy, którą prędko wypiła, potem zabrała się do sprzątania izby. Po umyciu naczyń, otworzyła szafę, aby przeglądnąć garderobę męża, czy nie ma coś do naprawienia.

Jakże się zdziwiła, gdy zobaczyła w szafie tylko swoje suknie, starannie porozwieszane; te suknie, rozumie się, które ona zostawiła, opuszczając fermę „Szczęście i błogosławieństwo Boże".

— Garderoba Józefa musi być w kufrze — szepnęła Zuzia.

Otworzyła kufer, ale znalazła tam tylko brudną bieliznę.

— Namoczę ją, aby się łatwiej dała wyprać — mruknęła i zaczęła obu rękoma wyrzucać bieliznę na podłogę.

Wtem zobaczyła na samym dnie kufra dziwnie wyglądający, skórzany worek.

Ciekawa, wzięła go do rąk i otworzyła. Było tam pełno diamentów.

— Diamenty! — krzyknęła Zuzia zdziwiona i uradowana — skąd one się wziąć mogły?

Zuzia wysypała je na podołek, zaczęła każdy kamyk z osobna przecierać fartuszkiem i cieszyć się ich blaskiem.

Wtem wszedł Mayer z cebrem wody.

— Jezusie Święty! — zawołała Zuzia z błyskiem w oczach i zarumienionymi policzkami — skąd masz te diamenty, Józefie?

— Czy to diamenty? — zapytał Mayer obojętnie — to one dlatego tak się błyszczą?

— Skąd je masz? — zapytała znów Zuzia żywo — czy one się tu w bagnach znajdują?

— W bagnach, nie! — odparł Mayer — wyłowiłem je z Missisipi. Brunatny Malajczyk miał ten worek przewieszony na swej szyi. Pogrzebałem biednego poganina po chrześcijańsku, a piękne kamienie schowałem dla siebie, bo one mu się i tak na nic więcej zdać nie mogły. Czy warte one kilkaset złotych?

— O, dużo więcej nawet! — zawołała Zuzia uradowana — nie wiesz nawet jakiś teraz bogaty, Józefie! Dostaniesz za te kamienie więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek w życiu razem widziałeś!

— Ale — rzekł Józef niedowierzająco — to nie może być! Te diamenty są wprawdzie ładne, ale nie ma z nich żadnej korzyści. Nie można ich ani jeść, ani pić, ani się przeciwko zimnu ochronić, tylko na nie patrzeć!

— Ale bogaci ludzie kupują je i płacą za nie złotem! — zawołała Zuzia żywo. — Czy przypominasz sobie tę broszkę, którą we Wiedniu chciałam kupić? Złotnik cenił ją na kilka tysięcy reńskich, a ty się z niego śmiałeś. Później przekonałeś się, że w innych sklepach to samo żądali. A tamte diamenty nie były nawet takie duże jak te. To cały majątek!

Józef popatrzył na żonę ciekawie, a potem zapytał podstępnie i nieufnie:

— Czy myślisz, abyśmy teraz do jakiegoś miasta wyjechali i sobie tam wesoło żyli?

Policzki Zuzi okryły się szkarłatnym rumieńcem.

— Nie, Józefie — odpowiedziała ona mu spokojnie, ale stanowczo. — Pojmuję to dobrze, że ty tak o mnie myślisz, ale tym razem czynisz to niesłusznie. Może jeszcze myślisz, że ja się dowiedziałam o twoim skarbie i dlatego wróciłam? Wierzaj mi, że nie! Nie chcę też wielkiego miasta, ani ludzi, ani bogactw, ani wesołego życia! Jedynie o to cię proszę, abyś mi pozwolił

tu przy tobie zostać i gospodarstwo ci prowadzić!

— Dobrze, dobrze — odparł Józef, stawiając duży kocioł na ogień i wlewając doń wodę.

Zuzia zapakowała tymczasem znów diamenty do skórzanego woreczka i położyła go na dawne miejsce.

— Daruję ci te kamienie — rzekł Mayer nagle donośnym głosem — jak chcesz, to weź je sobie. Jak one naprawdę tyle warte, to możesz je spieniężyć i wybornie, wesoło z tego żyć.

— Nie, nie chcę! — zawołała Zuzia gwałtownie, a potem dodała spokojnie:

— Chciałeś mnie tylko skusić i wypróbować, czy jestem jeszcze taka chciwa strojów i zabaw jak dawniej. Nie mam ci jednak za złe. Nie możesz mi przecież ufać teraz, po tym wszystkim, com zawiniła...

— Dość — przerwał jej Mayer — nie mówmy więcej o tym .Nie dotykaj się starej rany, aby jej na nowo nie rozkrwawić. To jednak powtarzam raz jeszcze i całkiem poważnie:

— Te diamenty są twoją własnością, darowałem ci je!

Popatrzył na nią znów badawczo i spostrzegł zdziwiony, że oczy Zuzi były pełne łez.

Mayer nie lubił łez, tak jak wszyscy mężczyźni. Wyszedł więc natychmiast z izby, aby skończyć swą pracę.

— Założyłbym się — mruknął — że Zuzia jeszcze dzisiaj spakuje diamenty i odejdzie.

Ale stało się inaczej, niż Mayer przypuszczał.

Mimo osłabienia, pracowała Zuzia nieprzerwanie w izbie, aby mężowi życie uprzyjemnić. Mayer zaś przypatrywał się temu wszystkiemu z niedowierzaniem i nieufnością.

Może nie odważa się ona na pieszą drogę do Wilsonstown — myślał — i czeka na jakiś nadjeżdżający tędy parowiec!

Ale i to przypuszczenie jego, okazało się mylne. Gdy bowiem w kilka dni później na rzece ukazał się duży parowiec, wtedy przybiegł Mayer do izby i zawołał:

— Zuziu, parowiec nadjeżdża!

— Może nam kapitan odstąpi trochę cukru i herbaty — odpowiedziała na to Zuzia spokojnie — mamy już tylko mały zapas i mógłbyś sobie drogę do Wilsonstown oszczędzić!

— A ty, czy niczego dla siebie nie potrzebujesz? — spytał.

— Dziękuję ci Józefie — odparła młoda kobieta — mam wszystko, czego mi potrzeba.

— Możebyś sobie chciała parowiec z bliska obejrzeć i pogadać z ludźmi? — zapytał znów Mayer.

— Nie — zapewniła go Zuzia — nie pragnę widoku ludzi.

— Jak chcesz — mruknął Mayer i wyszedł z dużym koszem i workiem w ręku.

Po godzinie może znów wrócił z koszem, otarł pot z czoła i rzekł:

— Przyniosłem coś dobrego do jedzenia, bo ta wieprzowina już się człowiekowi sprzykrzyła. Oto ćwiartka cielęciny i trochę kartofli, możesz sporządzić z tego dobrą wieczerzę.

Zuzia zaczęła z kosza wydobywać. Było w nim prócz cielęciny i kartofli jeszcze herbata, kawa, cukier, flaszka wina i kilka



Sic transit gloria mundi! Wystawa paryska przybrała obecnie zgoła inny wygląd. Rząd francuski postanowił ją zlikwidować.

puszek konserw jarzynowych i owocowych.

— Owoce są dla ciebie — rzekł Mayer — czekaj, w kieszeni mam jeszcze kilka tabliczek czekolady.

Zuzia wzruszona była dobrocią męża i uścisnęła gorąco obie jego ręce. Dawniej wynagradzał ją Józef za najmniejszą serdeczność licznymi pieszczotami, teraz to się zmieniło. Mayer uwolnił swe ręce z jej uścisku i rzekł sucho:

— Przygotuj prędko mięso; jest to spory, przeszło 10-cio funtowy kawał i potrzebuje dużo czasu, nim się należycie wypiecze. Wiesz, że nie lubię surowego mięsa.

— — — — — —

Było to jasne, że Mayer widział w Zuzi już tylko gospodynię, klucznicę swoją i że wszystkie jej usiłowania, do odzyskania jego miłości, były bezskuteczne.

Mimo to nie traciła Zuzia nadziei, że dawna miłość ku niej odezwie się jeszcze w sercu Józefa.

On przecież nie kocha innej — pocieszała się w chwilach przygnębienia — a mnie musiał okropnie kochać, skoro dla mnie tak długo wytrzymał w tej pustelni.

Jak to było głupio z mej strony, że tak się wyspowiadałam — myślała dalej — gdybym była milczała, byłoby wszystko dobrze poszło. Co za szczęście, żem się w czas rozmyśliła i więcej jeszcze nie wygadała. Gdyby on wiedział, w jakim ja stosunku z baronem Sturmfederem stałam, i jakiego figla mu tym listem wypłatałam, który on swego czasu z takim trudem do księdza wypisał, zamordowałby mnie w złości!

Jest to też wielkim szczęściem, że żyjemy w tej pustelni, dokąd żadne słuchy ze świata nie dochodzą. W wielkim mieście, nie miałabym bowiem ani chwili spokoju z obawy, aby nie spotkać kogoś, któryby mnie znał, gdyby służyła u pani Katskin. Gdyby się Józef dowiedział, żem powiła dziecko...

Urwała ona w tym miejscu i zakryła twarz rękoma, jak gdyby w ten sposób chciała odpędzić okropne myśli, które ją teraz opadały.

Odezwało się w niej też sumienie, gdy sobie przypominała, że z jej winy hrabia Werner siedział jeszcze w tym okropnym podziemiu, ale to nie było największym jej bólem.

Wszystkie myśli jej skierowane były do jednego celu: do odzyskania miłości i szacunku swego męża!

Nie byłaby mu się za żadne skarby świata przyznała do winy, która na niej ciążyła.

To też spowiedź jej, nie była zupełnie szczerą i dlatego częściowo tylko ulżyła jej sumieniu.

Żyła w ciągłej trwodze, że przypadek mógł odkryć Mayerowi jej grzechy i znosiła piekielne katusze.

Wszystkie usiłowania jej około odzyskania serca męża, zdawały się dotychczas być bezskuteczne.

Gdy rudy siedział wieczorem w izbie i spoglądał spod oka na żonę, oczy jego błyskały gniewem, marszczył czoło i zaciskał usta.

Z nadludzką siłą wstrzymywał się od wybuchu, wzrokiem tylko karcił winną kobietę, ale ani jedno słowo wyrzutu przez usta jego nie przechodziło.

Zuzia przeczuwała jego wewnętrzną walkę i wstrzymywała oddech ze strachu.

W takich to chwilach, czuła się bliską rozpaczy, a jedynym jej pocieszeniem, były diamenty Malajczyka.

Józef mnie przecież musi kochać — myślała — bo inaczej nie byłby mi darował tych kosztownych diamentów! To przecież majątek!

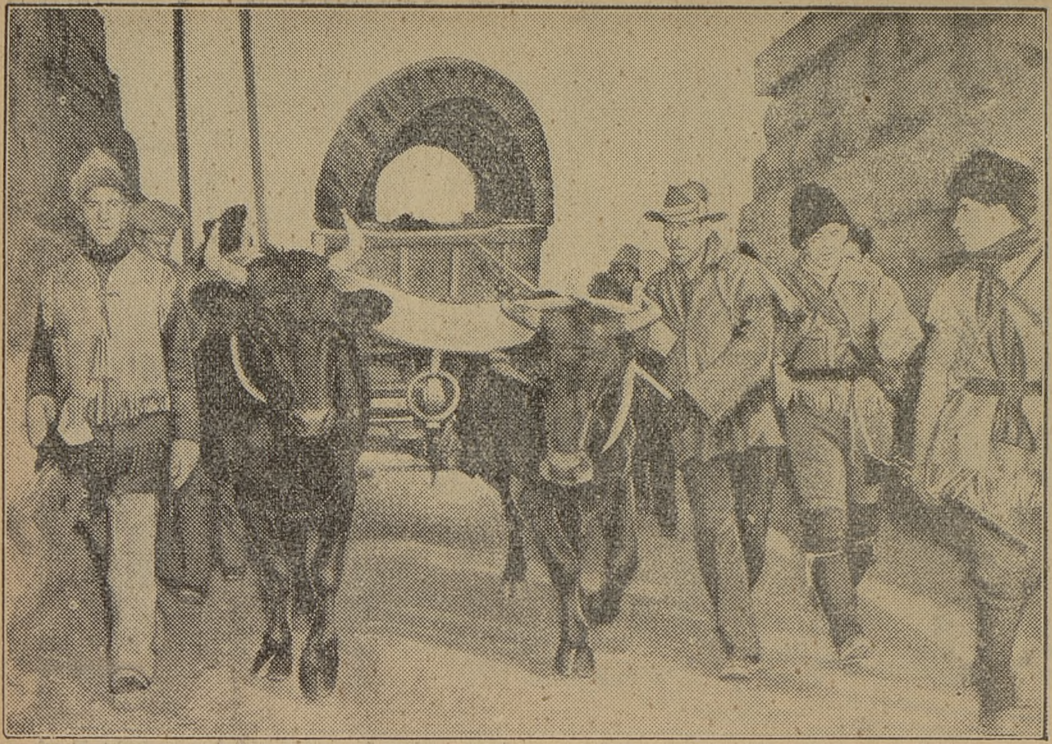
Uzbrajała się w cierpliwość i starała się dalej niezmużenie o miłość Mayera.

Jakób starał się 14 lat o Rachelę — pocieszała się — a czas mu prędko upływał. I ja wytrwam i nie dam się zniechęcić. Żadne drzewo nie pada od pierwszego uderzenia siekiery. Józef musi z czasem uznać moją szczerą skruchę i pewno da się wzruszyć!

ROZDZIAŁ CCXLVI

Przez tylną furtkę

W eleganckim buduarze baronowej Sturmfeder, pełnym egzotycznych, wonie-



Jak przed 150 laty, tak obecnie grupa młodych Amerykanów wyruszyła tym szlakiem, co ich przodkowie, gdy wyruszali na podbój Ameryki Północnej. Wszelkie akcesoria, jak strój, wóz zaprzężony w woły, zostały wiernie odtworzone.

jących kwiatów i barwnych kolibrów kołyszących się na pozłacanych drążkach, siedziała baronowa Ada na aksamitnym fotelu, a tuż obok niej, na niskim taburecie, rudy Petöfy.

Trzymał białą rączkę Ady w obu rękach i okrywał ją gorącymi pocałunkami. Wreszcie szepnął:

— Ten nikczemnik nie wart ciebie. Wczoraj spędził całą noc u Engelbrechta, w towarzystwie dwóch baletnic.

— Skąd ty to wiesz, Piotrze? — zapytała Ada z uśmiechem — czyś mu może dotrzymał towarzystwa?

— Co za niewczesne żarty, królowo moja! — zawołał książę z wyrzutem. — Kto ciebie kocha, korono płci niewieściej, dla tego żadna inna kobieta na świecie nie istnieje. Nie widziałem też na własne oczy hołdów, które baron składał tym damom z półświatka, ale mój cnotliwy kuzyn, czarny Piotr, opowiadał mi o tym, bo miał zaszczyt należeć do tego pięknego kółka. Obie te baletnice, które barona równocześnie miłością swą uszczęśliwiają, takie Piotrowi były wstrętne, że opuścił lokal, jak prędko tylko mógł. I takiemu mężowi chcesz być wierną, słodka Ado? To byłoby grzechem! Grzechem wobec mnie i ciebie samej. Powiedz mi wreszcie, że przyjdziesz. Przyrzeknij mi, że spełnisz najgorętsze me życzenie!

— To wprost niemożliwe, Piotrze! — odparła Ada, rzucając wielbicielowi gorące spojrzenie. — Mieszkam z mamą pod jednym dachem i muszę być ze względu na nią bardzo ostrożna.

— Popatrz mój aniele — perswadował jej rudy Petöfy — to przecież nie jest wcale tak trudne jak się zdaje. Pojedziesz jutro do kościoła św. Szczepana i każesz woźnicy czekać na siebie przed głównym wejściem.

— Ależ ja dopiero zeszłego tygodnia byłam na mszy, a nie chodzę nigdy częściej, jak raz na miesiąc, przerwała mu Ada.

— To nic nie szkodzi — zapewniał ją kochanek — tym przecież nie ściągniesz na siebie żadnego podejrzenia. Przejdziesz przez główną nawę kościoła a u końca jej zobaczysz małą, szarą furteczkę. Otworzysz ją i znajdziesz się od razu na placu św. Szczepana.

Tam wpadnie ci zaraz w oko mała, jednopiętrowa kamienica, która się prawie chowa między dwoma okazałymi domami. Do tej kamieniczki dam ci klucz i będę cię tam z tęsknotą oczekiwał.

To rzekłszy, wsunął jej w rękę klucz, średniej wielkości i dziwnej formy.

Ada zawahała się chwilę, lecz wsunęła go wreszcie do kieszeni.

— Czy nie mogłabyś zaufać swej garderobianej? — spytał książę.

— Sądzę, że ona by mnie nie zdradziła — odparła Ada — ale nie chciałabym się tak poniżyć przed swoją służącą. Mala jest zresztą niezwykle inteligentna. Mogłabym się założyć, że ona kiedyś tu umyślnie przewróciła stolik, aby mnie ostrzec przed mężem.

Książę zaśmiał się i rzekł:

— Nie widziałem jej jeszcze, ale musi ona być niezwykle przebiegła. A jak zręcznie ona to wtedy urządziła i jak cię pokornie przepraszała!

— Tak, ona jest dużo mądrzejsza od wszystkich swych poprzedniczek — potwierdziła Ada.

— Muszę popatrzeć, czy ta doskonała osoba, znów jest w salonie, aby nas mogła ostrzec przed niebezpieczeństwem — rzekł książę wesoło i, podniósłszy się z taburetu, otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju.

Mala była jednak zanadto ostrożną, aby dwa razy podsłuchiwać na jednym i tym samym miejscu. Wybrała ona sobie na dziś cieplarnię, graniczącą z drugiej strony buduaru Ady. Ale nie było to miejsce nadające się do podsłuchiwania.

Wysokie palmy, obsypane kwiatem, kamelie i rododendrony przytłumiały dźwięk głosów z buduaru prawie zupełnie.

Toteż po kilku minutach, natężonego a bezowocnego podsłuchiwania, wyszła Mala cicho z cieplarni przez wąskie drzwi.

— Nie ma dziś naszego anioła opiekuńczego — zaśmiał się znów książę, wracając do swej lubej.

— Popatrz w cieplarni — rzekła Ada — może ona dziś tam podsłuchuje!

Książę otworzył posłusznie drzwi.

— I tu jej nie ma! — rzekł — ale co za cudne orchideie ma pani baronowa! Proszę tylko tę tu zobaczyć!

Ada wstała uśmiechnięta; ledwo jednak przestąpiła próg cieplarni, zamknął książę szybko drzwi od buduaru i zaczął obcałowywać jej twarz, włosy, ręce i ramiona. Czynił to wszystko dziko i namiętnie a Ada nie broniła mu się wcale, nawet ze swej strony odpowiadała namiętnie, na te wybuchy miłości.

Wtem wzdrygnęła się i wyrwała z ramion księcia, bo suchy kaszel zdradził obecność jakiejś trzeciej osoby w cieplarni. Trwożnie spojrzała wokoło siebie. Bogu dzięki! — pomyślała, zobaczywszy, że zielony laur zasłaniał ją zupełnie przed ciekawym okiem.

— Książę ma zupełną rację — rzekła ona teraz, rzucając Petöfiemu ostrzegające spojrzenie — te orchideie są zachwycające! A te róże! Niech mi książę zerwie tę czerwoną centyfolię. Ja tak lubię róże!

Rzekłszy to, wyszła Ada ze swej zielonej kryjówki i zobaczyła swą matkę, siedzącą na wygodnym fotelu.

— Kochana mama tutaj? — rzekła ona z udanym zdziwieniem.

— Wilgotne a ciepłe powietrze cieplarni bardzo mi służy — odpowiedziała hrabina Dornbruch z surowym spojrzeniem na księcia, do którego czuła instynktowną antypatię — przyszłam tu właśnie w tej chwili.

Książę przystąpił do niej, pocałował ją w rękę i powitał z należytym uszanowaniem.

— Dowiedziałem się ku swemu największemu ubolewaniu, że jesteśmy towarzyszami niedoli — dodał on współczująco — t.j., że jesteśmy oboje pacjentami.

— Z tą tylko różnicą ,że pan udaje chorego, a ja nią rzeczywiście jestem — odparła hrabina Dornbruch, wbrew zwyczajowi swemu, nieuprzejmie.

Petöfy udał mądrze, że się na tym nie poznaje i ciągnął dalej:

— Gdyby pani hrabina przyjechała na zimę do Florencji i piła ośle mleko, to by pewno prędko do siebie przyszła!

— Zima już się ma ku końcowi — przerwała mu hrabina.

— To mama może na przyszłą zimę tam wyjechać — zaproponowała Ada.

— Na przyszłą zimę! — powtórzyła hrabina załośnie. — Mój Boże! Kto wie, czy doczekam!

— Że też mama ciągle o śmierci mówi — zawołała Ada — i w jesieni tak samo mama mówiła, a teraz mamie przecież stanowczo lepiej, niż przed pół rokiem. Mama ma takie świeże i żywe rumieńce, jak młoda panienka!

Silny paroksyzm kaszlu był odpowiedzią hrabiny. Cienka, batystowa chusteczka, którą do ust zbliżyła, była skrwawiona.

— Zadzwoń na Malę — rzekła cicho.

Ada pociągnęła silnie dwa razy za dzwonek, co było sygnałem dla Mali, ale przebiegła garderobiana nie ruszyła się, mimo, że słyszała dzwonienie.

Nie chciała bowiem za żadną cenę spotkać się z Petöfim. Znała księcia jeszcze

Ciąg dalszy na str. 73.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

PRZEZ OKNO MOJE...

Kiedy przez okno moje patrzę w dal,
I kiedy w bezkres płyną myśli moje,
To wstają nagle w sercu niepokoje,
Budzi się dziwny, nieuchwytny żal...

Kiedy tak patrzę ponad domów szczyty
Nad miasto skryte nisko, w szarym pyle,
Widzę przeróżnych naraz rzeczy tyle —
Gdy z mego okna wpatrzę się w błękity.

W tej niezmierzonej tajemniczej dali,
Gdzie nie wzrok ludzki, ale dusza sięga,
Knuje się złota życia dziejów księga,
I odblask skier lśni, które się w nas palą.

Tam, w tej przedziwnej dalekiej rzestrzeni
Wszystko jest inne, piękne, nieuchwytne.
Niebo jest czystsze i bardziej błękitne,
A słońce kąpie się w złotym strumieniu.

Tam, w przecudownym, przedwieczornym blasku
Widzę prawdziwą piękność tego świata,
Bo nie przesłania jej więzienia krata,
Ni pycha ludzka — tak żadna pokłasku.

Tam się nie ujrzy wynędzniałych twarzy,
Ani tam nie ma brudu, ni szpetoty,
Tam me o szczęściu iszczą się tęsknoty
I wszystko, o czem dusza moja marzy...

Więc, gdy mnie życie za bardzo umęczy,
I dniem powszednim jestem zbyt znużona,
Siadam w fotelu przy oknie skupiona
I na chmurnym niebie mojej szukam tęczy!

Krystyna Waligórska.

...A BĘDĘ ZADOWOLONA

„Wesoła Pomorzanka". Absolutnie nie gniewam się za to „kochana", przeciwnie, ogromnie ujęła mnie serdeczność Twoja, Drogie Dziecko. Oczywiście, że godzę się przyjąć Cię do grona mych pupilek i pupilków i tak myślę, że nie będziesz wśród nich ostatnia.

Więc Ty jesteś jedynaczką — tak? Tym więcej cieszy mnie, że nie nudzisz się i nie labidzisz, jak to zwykły czynić rozkapryszone jedynaczki. Zawsze staraj się być równie pogodną i czynną, jak obecnie, a będę z Ciebie, jako z nowej „Krainianki", bardzo zadowolona. Proszę Cię o adres, posyłam przyjazny uśmiech i przechodzę do komunikatów:

„Księżniczko Tirso", „Rozśpiewana Izabello" — zasyłam śliczne pa! Domyślacie się, kto?

„Młody Orle" — życzę powodzenia w przestworzach i zdradzam, że... że zazdroszczę trochę Panu tych podniebnych lotów. Widać, że jesteś odważnym. Ślę szczere uznanie i jasne uśmiechy.

„Szary Sokole" i „Jaśku Sokole" — wołam nasze sokole „Czołem".

„Żołnierzyku z grodu Lecha". Znamy się. Pamięć zawodzi? współczuję, Rychu!

Dużo radości i zdrowia „Przedwiośniu", „Młodemu Marynarzowi z Żaglowca" oraz całej Krainie!

GDY WRACASZ

„Przybłęda Leśny". Trudno byłoby nie przyjąć z powrotem do naszego grona takiego młodego „odważniaka", co to niby chyłkiem, a przecież śmiało wciska się do starej, poczciwej „Krainki", zwłaszcza, gdy on obiecuje poprawę na przyszłość, a ponadto chwali się umiejętnością rozweselania smutnych i strapionych i twierdzi, że zarazi nas swoim dobrym humorem. Dzięki tym solennym zapewnieniom Pana, nie tylko godzę się na Jego ponowne wstąpienie do naszego miniaturowego państewka, ale nawet w drodze — doprawdy — łaski przedrukowuję wierszyk, którym kończy Pan swój dowcipny do nas list. Niech mi Pan wierzy, że nie przeszedł on przez cenzurę Wujka Janusza — zbyt Pana polubiłam, aby uczynić mu przykrość konfiskatą wiersza, zaś na stoczenie walnej dyskusji o jego wartości z Wujkiem Januszem nie miałam odwagi. Najważniejsze jest to, iż wiem, że uzupełnia on doskonale cały Twój list, który poniżej zamieszczam.

Pozdrawiam Pana wesoło i czekam na nową wiadomość, w której oby przebijał stary i nowy sentyment do „Krainki". Pozostaje mi tylko żałować, że nie uprzedził mnie Pan przed krótkotrwałą dezercją z naszych szeregów — bylibyśmy Mu przesłali na pierwszej szpalcie „Krainy" wymowną i silną pieśń:

„Gdy wrócisz po tylu długich latach —
Zastaniesz „Krainę" w kwiatach — jak gdyby
nigdy nic.
Gdy wrócisz, o nic Cię nie zapyta,
Jak dawniej Cię powita —
Nigdy nic jak gdyby!"...

Ale ponieważ nie uczyniłeś tego, więc teraz, gdy już wracasz — wróć całym sercem i na zawsze. Nie opuszczaj nas dobrowolnie.

„Z dawnego zapaleńca „Moich Powieści" — zrobił się zgrzybiały starzec — no i z niecierpliwością oczekiwane niegdyś przemiłe pisemko zajęło nietknięte dolne półki biblioteki. Co gorsze, zaprzestałem być nawet czytelnikiem „Moich Powieści" — A wszystkiemu winne te najrozmaitsze egzaminy, które człowieka ostatnio przygnębiały! Dziś jednak, kiedy wszystko (po naszemu mówiąc) „odwaliłem", kiedy przede mną powstał Nowy Rok — rok beztroskiej swobody, no i długiego karnawału — bezwłocznie zaabonowałem me ukochane pisemko, by mieć miłą rozrywkę i poczynam zbliżać się powoli do starego, serdeczno - wesołego grona Panny Zofii.

Nie czynię tego bezpośrednio, lecz jak „chytry lis" — obchodzę z daleka „przynętę" i kombinuję, jak by tu wpaść niepostrzeżenie do „Krainy szczerości". Jestem przekonany, że Panna Zofia, gdyby się poznać mnie mogła — na pewno by się srogo pomściła, żem tak chyłkiem umknął Jej z grona! Ale przywlekłszy skórę „Przybłędy Leśnego" — może o „żebraczym kiju", złożywszy Jej serdeczne życzenia „Dosiego Roku" — w drodze łaski, dostanę się znów w stare grono i przyrzekam, że go tak prędko nie opuszczę!!!

Do wszystkich zaś Sympatyków, no i przede wszystkim Sympatyczek „Krainy" — apeluję: „Przyjmijcie „Przybłędę Leśnego" w swe szeregi, a przyniesie Wam beztroski humor z głębi niedostępnych borów i rozweseli szarość życia swymi nowinami.

Bo ja mieszkam w ciemnym lesie,
Nikt mnie nie odwiedza —
Tylko wicher wieści niesie —
To ma cała wiedza!

Śnieg przyprószył grubo drzewa —
I pustka wokoło —
Ani ptaszek nie zaśpiewa
W karnawał wesoło!

Błądzę w lesie — poprzez śniegi,
Nie mam w życiu celu —
Wciąż daremne me wybiegi,
Jak u ludzi wielu!...

Może ktoś mi poda rękę,
Smutek zetrze z czoła,
Temu w darze za podziękę —
Wszystko dam, co zdołam!!!

„Przybłęda Leśny".

NAUCZ SIĘ WIERZYĆ!

„Nina — harcerka z R." Dobrze, że przysłałaś swój adres, Dziecino, czekałam na to. Zadowolona też jestem, że udało mi się zaaplikować Ci nową dawkę wiary w ludzi i wzbudzić chęć do odważnej walki z trudnościami. A teraz dam Ci jeszcze jedną radę — otóż prześlij świadectwo ukończenia szkoły, metrykę itd. na adres „Zuch Dziewczyny" — list ten przyślesz do redakcji „Moich Powieści", a ja go już doślę na miejsce. Nie wiem na pewno, ale zdaje się, że znajdziemy lekarstwo na Twoje zmartwienie.

Owszem, zdjęcia, zarówno te z opłatka, jak swoje własne — przyślij mi proszę, zapoznam się z Tobą bliżej i schowam na pamiątkę lub zwrócę, gdyby Ci na tym zależało.

Mylisz się, pisząc, że mogłabym mruknąć niecierpliwie: „Ał skończ już wreszcie swoje bazgranie" — przeciwnie, zainteresowałam się ogromnie i naprawdę pragnę Ci pomóc. Więc Ty z kolei nie mów od rzeczy i naucz się wierzyć tej p. Zofii, której przyjaciółką chcesz i masz zostać.

Za życzenia świąteczne dziękuję i wzajemnie ślę noworoczne. Niech Ci Bóg da, aby ten nowy rok przyniósł Ci posadę i zadowolenie z życia! A gdy już tak będzie, pamiętaj o innych, którzy w tym samym będąc położeniu — mogę Ci stanąć na drodze. Wówczas nie omijaj ich obojętnie, lecz zatrzymaj się, popatrz i postaraj oddać z naddatkiem, co wzięłaś od ich braci.

Rozumiesz mnie, Mała Harcerko? Byłam i ja nią długo i zawsze mam najszczerszy sentyment do tej organizacji. Więc idź w życie dzielnie, nie zapominaj o kardynalnym prawie: „Harcerka jest wesoła i pogodna" i... czuwaj! Czuwaj nad sobą i życiem swoim — zawsze bądź dobra!

CZY MOŻNA ZAMIEŚCIĆ W „KRAINIE"?

„Zofia z Gr." Ależ może Pani przyjechać, kto Jej w tym przeszkodzi? Dobrze, że masz tyle zadowolenia z kontaktu z „Krainą" — lubię, gdy moi „Krainiacy" potrafią przełamać twardy, ciężki mur smutków, gdyż uważam słusznie, że życie jest za krótkie na to, aby je przemęczać tylko i jedynie, zamiast przyjemnie i dzielnie przeżywać!

Sprawuj mi się tak dalej, a będę z Ciebie nawet dumna, bo znam już wszak trochę Twoje, że tak powiem, losy!

Za fotografię uprzejmie dziękuję, czy nie wolno jej umieścić w „Krainie" — jesteś taka śliczna!

Co do mnie, to nie zdecyduję się posłać Ci swojej, bo przyniosła by Ci pewne rozczarowanie — zupełnie nie jestem podobna do obrazu, jaki namalowała Twoja wyobraźnia. Nawet nie jestem brunetką o ślicznym profilu — nie! Wiek podałaś wcale rozciągły — owszem coś między tym z tendencją w stronę tej mniejszej liczby.

Wiesz, Kochanie, że nie znam pseudonimu Twego braciszka — Zdradź mi go (pseudonim) w następnym liście.

A teraz Twoje komunikaty:

„Bajce", „Psyche", „Marusi III", „Stokrotce", „Wesołej Dusi spod Grudziądza" — ślę moc pozdrowień!

„Wieszczkę Kwiatów" proszę o ofiarowanie mi jednego wierszyka.

„Płomyku", może napiszesz do mnie?

Całej „Rodzince" serdeczności i ciche życzenie, aby pamiętała o mnie!"

TAK MYŚLĘ!

„Czarnooka Blondynka II." Naturalnie, Dziecino, że możesz mi zaufać i o wszystkim ze mną mówić, co Ci leży na sercu i rozumie się, że nie zapomnę o Tobie — zresztą Ty sama wszak o to możesz zadbać. Czym więcej będziesz ze mną rozmawiać, tym większa pewność, że poznam Cię lepiej i tym samym stracę możność zapomnienia.

A powiedz mi, co z Twoim kucykiem, czy już jeździsz tak dobrze, że nie zdarzają się wypadki podobne temu, który mi opisałaś? Oj — tak myślę, że w lecie będziesz już mogła z powodzeniem stanąć do zawodów konnych — jak sądzisz? Dopiero byłabym dumna, gdybym wyczytała, że taka to a taka pani wzięła pierwszą nagrodę w... powiedzmy, powiatowych zawodach hippicznych!

Naucz się od tatusia dobrze zarządzać majątkiem, to będzie pozytywna i korzystna w życiu umiejętność.

Napisz mi o swoich postępach w tym pierwszym i zaznacz, czy zainteresowało Cię to drugie, które Ci właśnie podsuwam.

Czekam na długi list i posyłam przyjacielski uśmiech!

„Halo! Miłe pozdrowienia dla „Danki z Pomorza", „Zbijobruka poznańskiego", „Tadeusza Ch.", „Młodego Orła", „Fakira" i całej „Krainy". Może napiszecie do mnie?"

NAPISZ MI!

„Samotna Włościanka". Ucieszył mnie bardzo Pani liścik, „Samotna Włościanko" — tylko nie mogłam od razu nań odpowiedzieć, bo wyjeżdżałam na święta. Za to teraz mogę już ustalić dzień naszego spotkania w Żninie. Więc najdogodniej byłoby, gdybyś przyjechała w niedzielę 30 bm. Wyjdziemy po Panią na dworzec, abyś nie błądziła w obcym mieście. Miej „Moje Powieści" w ręce, bo moglibyśmy Cię nie poznać. Pójdziemy obejrzeć ładniejsze zakątki naszego miasta, pomodlimy się w naszym kościółku, rozgrzejemy kawą, porozmawiamy i wieczorem wrócisz do domu. Tylko napisz mi, czy dogodna Ci ta niedziela i o której godzinie przyjedziesz.

Dziękuję serdecznie za dobre życzenia świąteczne i ciekawam, czy rzeczywiście podczas dzielenia się opłatkiem pamiętałaś o mnie? No, pomówimy o wszystkim, a na razie powiem „Krainiakom", co mi poruczyłaś.

Wszystkim „Krainiakom" życzy „Samotna Włościanka" dużo szczęścia w nowym roku!

„Czarodziejce" przesyła serdeczności i też dużo powodzenia i radości w nowym roku!

„SĄDZĘ!

„Mała Konwalijka". Odpisuję Ci, kochana, na list dawny, bo jeszcze z października, dlatego nie będę załatwiała spraw w nim poruszanych, gdyż sądzę, że już je załatwiłaś w naszej administracji. Napisz mi, czy nic się u Ciebie nie zmieniło na lepsze? Pani Sz. już wróciła i jest zupełnie zdrowa? Chciałabym, aby tak było.

Piękna, naprawdę piękna jest ta przytoczona zwrotka o czarach jesieni — stwierdzam z przyjemnością, że lubisz poezję i poetyzujesz trochę w życiu. Tylko postaraj się koniecznie zmniejszyć maleńko swój stały i niezmienny pesymizm. Aha! „Krainiacy", postarajcie się, proszę, wpłynąć dodatnio na „Małą Konwalijkę", aby nie była tak beznadziejnie smutna — dobre, pogodne listy tak dużo dają!!!

No, „Konwalijko" — nie mam większego życzenia, jak to, abyś mi kiedyś napisała, że jesteś już zupełnie zadowolona z losu i... szczęśliwa!

Uśmiechnij się, Dziecko, uśmiech dobry rozjaśnić jest w mocy nawet najbardziej szarą dolę!

CENIĘ SŁOWNOŚĆ

„Heniek". Panie „Heniu"! O, ile wiem, to jest mi Pan winien pewną przesyłkę — należałoby okazać się słownym — przyznam się szczerze, że cenię tę zaletę nie tylko u „Krainiaków", ale u ludzi w ogóle, a w szczególe u mężczyzn.

Jak z egzaminami i referatami — czy wszystkie przypadające na ten czas już załatwione? Oby tak było — życzę z serca!

Pozdrawiam i przedrukowuję Pana apel:

„Halo! Zwracam się do kochanej „Rodzinki" z apelem, żeby ktoś do mnie napisał. Chciałbym dyskutować na wszystkie tematy — znalazłbym na to dość czasu, mimo, że dużo pracuję, przygotowując się do egzaminów.

Zasyłam moc pozdrowień dla „Smutnej Oleńki". Olu, byłem w D. 25 listopada, lecz nie miałem czasu Was odwiedzić. Gdzie obecnie jesteś — chcę Ci posłać list.

„Muszka" i „Przedwiośnie" — dlaczego mi nie odpisujecie?

„Anetkę III" proszę o list.

Całą „Krainę" pozdrawiam serdecznie.

ŻYCZĘ ŚWIETNYCH TROFEÓW...

„Myśliwy". Dziękuję Panu za życzenia zdrowia i dobrego humoru — życzenia były szczere, bo rzeczywiście jedno i drugie dopisywało mi przez okres świąteczny, a i teraz uprzejmie mi towarzyszy — pozostaje tylko życzyć sobie, aby przez cały rok tak było!

Co zaś do Pana, to życzę mu dużo, dużo szczęścia i... świetnych trofeów myśliwskich, jako że jesteś zapalonym myśliwym.

Sympatyczkom „Krainy" życzysz wesołego i szczęśliwego nowego roku (przez całe 12 miesięcy), a „Czarodziejce", aby znalazła w tym roku szczęście prawdziwe i mocno całujesz jej małe rączki.

Posyłam Panu przyjacielski uścisk dłoni i miły uśmiech!

BĘDZIEMY WSPOMINAĆ I MYŚLEĆ!...

„Pan M. Gr. — Poznań". Dziękuję Panu w imieniu wszystkich „Krainiaków" i swoim za te miłe życzenia świąteczne, które był Pan uprzejmy nam złożyć. Wzajemnie ślę Panu najbardziej serdeczne życzenia pomyślności i powodzenia na rok cały, a także na dalsze lata „podróży" po naszej starej ziemi.

Wdzięcznie będziemy zawsze Pana wspominać i myśleć jak o bliskiej nam osobie. A może nie przerwie Pan z nami kontaktu i jeżeli nie stale, to przynajmniej sporadycznie będzie korespondował z „Krainą"? Bardzo byłoby to miłe! Na razie vale!

PRZYPOMNIJ SOBIE!

„Biała Wajali". No, teraz już chyba nie narzekasz na moje rzekome zapomnienie — prawda? Mam tu dwa Twoje ostatnie listy i dochodzę do miłej konkluzji, że umiesz podpatrywać życie i znasz jego złe i dobre strony, a swoje spostrzeżenia na ten temat potrafisz ubrać strofą poezji.

Obie fotografie wysłałam Ci równocześnie i dlatego dziwię się, że pytasz mnie o jedną z nich. Przypomnij no sobie proszę, czy nie odebrałaś ich wówczas, gdy zasłałam Ci pozdrowienia.

Cieszę się, że wreszcie natrafiłaś na dom, w którym Cię szanują i kochają — staraj się sercem zapłacić za serce i pamiętaj, że zawsze jest lepiej i szlachetniej nadpłacić niż niedopłacić!

Wierszyk oddałam Wujkowi — już wydrukował w teczce, bo do „Przyjaciółki" jednak był za słaby.

A teraz Twoje przedługie komunikaty:

„Halo! „Mała Konwalijko" — co z Tobą? Wybacz milczenie, byłam tak zajęta, nie zapomniałam jednak tych cudnych chwil z Łodzi i R. P. Mocno całuję i ściskam.

„Maruto"! Nie gniewam się, Ty dobra szlachetna — napiszę. Ciebie i Emila pozdrawiam, pa! —

„Wirrycie"! Co za nastrojowa nowelka, piękna, szkoda że... że... to nie było na R. Bałuckim a na Pl. Wolności, pozdrawiam!

„Taki - Jeden" myślisz o Kaji? — proszę pamiętać!

„Dumko" — wielkie zmiany, życzę Ci wiele szczęścia na nowej drodze życia — całuję!

Dla „Smutnej Kazieńki", „Dafne", „Krakowianki", „Samotnego Roma", „Córki Wichru" moc pozdrowień. Osobne dla P. T. Multańskiego — czy mogę spodziewać się kilku słów? Czekam, pozdrawiając!

„Zuch Dziewczynko"! Pani z Ł.? Szkoda, byłam w Ł. aż 8 miesięcy czy Pani wiedziała o tym z „M. P."? Chętnie byłabym z Tobą Kochanie poznała się!

Dla wszystkich, co pamiętali o mnie i przesłali pozdrowienia, odwzajemniając się, przesyłam uściski i śliczne pa!

Teczka Wujka Janusza

TO NIE PRZESZKADZA...

P. H. J. z R. Bardzo mi przykro, że spotkał Panią ten maleńki wypadek i dzięki niemu musiała się Pani położyć do łóżeczka, aby prędzej „wylizać się z ran". Tak, tak — figlarne, o żywym usposobieniu osóbki, sprawiają sobie nieraz takie przykre niespodzianki, ale to nie przeszkadza, aby po wyzdrowieniu nie polować na następną niespodziankę. Wszak prawda?!

Wierszyk — „Dlaczego nie piszesz?" — jeszcze niedostatecznie opracowany, natomiast drugi — „Wiersz dla „Banialuki" — zamieszczam, gdyż pragnę tej Sympatyczce sprawić dużo uciechy. —

WIERSZ DLA „BANIALUKI"

Droga Moja „Banialuko",
Chcę napisać Tobie szczerze,
Co to z tego raz wynikło,
Gdym jechała na rowerze.

Mijam lasy, mijam pola
I tak myślę, Moja Droga:
„Ach, ta jazda, to swawola,
Ale radość również błoga!..."

Śmiałam się, jak dziecko małe —
Uśmiech szczęścia kwitnął tylko —
I pryskały smutki, żale
I mknę dalej — jeszcze chwilkę....

Naraz w szału pędzie jadąc,
Gdzieś z kniej leśnych niespodzianie —
Wpadł mi „w szprychy" duży zając —
Świetne, prawda? — polowanie.

Oj, co było Moja Droga!...
Teraz sobie w łóżku leżę,
Chora ręka, chora noga
Po tej jeździe na rowerze.

Lecz niech wstanę z łóżka tylko —
Znów gdzieś prysną smutki, żale!...
Byle dalej — „jeszcze chwilkę" —
Na rowerze jeździć stale...

Helena Justyńska.

Halo! „Banialuko"! Czy podoba Ci się ta „rowerowa historia" P. Heli J.? Tak, prawda, a więc posłuchaj dalej, co Ci ta Pani jeszcze przesyła:

„Moja Droga „Siostrzyczko"! Bardzo lubię jazdę na rowerze i lubię... Ciebie. Czy nie zechciałabyś poznać się ze mną za pośrednictwem „Moich Powieści"? Jeżeli tak, to podaj mi swój adres, a napiszę do Ciebie. Pa!".

PISZ WIĘCEJ!

„Królowa Gizella". Często maleńki odruch serca więcej znaczy, aniżeli wspaniałomyślne czyny — zdanie powyższe doskonale mogę postawić obok wrażenia, jakie wywarła na mnie pocztówka Pani z życzeniami noworocznymi. Słodka Pani, jakże mi miło, że tak dobrze myślisz o mnie. Topniało mi serce, jak śnieg pod wiosennymi promieniami słońca, gdy odczytywałem Twoje słowa. Pisz częściej! Koresponduj ze mną — bardzo proszę, oczywiście o ile to Pani sprawi przyjemność.

Na zakończenie chylę się w czołobitnym, dworskim ukłonie przed najukochańszą i najsympatyczniejszą z... „Królowych".

MARZENIA

Marzę wieczorną godziną,
Patrząc w miastowy gwar,
Gdzie ludzi fale wciąż płyną,
A wokół świateł czar.

Warszawa! Miasto ułudy!
Miasto mych marzeń i śnień!
Na Placu Saskim w Łazienkach —
Twój mi się miga cień.

I wzrok mój ślę w te krużganki,
By móc zobaczyć cię znów
I kocham cię, choć nie wiem,
Gdzie jesteś, rycerzu z mych snów.

Eunice S.

Raj kobiet



Ubranie sportowe wykonane z miękkiej wełny w kolorze brązowym; żakiecik zapinany na jeden rząd guzików. — Praktyczna i ładna kamizelka skórzana, na narty. — Śliczne ubranie na narty, z ciemnoniebieskiej wełny; wyłogi z wełny w kolorze czerwonym. — Komplet sportowy, składający się z bluzki wełnianej i spódnicy-spodni. — Śliczny kostium na lód: żakiecik wcięty i spódniczka kloszowa; przybranie stanowi lamówka z futra.

Moda a narty

Zaledwie pierwszy mróz ściśnie powierzchnię wody, a śnieg pokryje pola i zbocza gór, a już wylegają na nie liczni zwolennicy sportów zimowych. Ślizgawka i narty. Zwłaszcza narty!

Stały się one od niedawna sportem, pochłaniającym ogromnie szerokie warstwy społeczeństwa. I nie tylko sportem, ale i środkiem komunikacyjnym i treningowym wojskowym, na który wyruszają kadry oficerskie i oddziały żołnierskie.

Strój do tego sportu muszą wszyscy. A że panie należą również do gorących adeptek i propagatorek narciarstwa, więc przeglądają swój narciarski sprzęt i ekwipunek i zastanawiają się, co należy zmienić i co należy uzupełnić.

Strój narciarski nie podlega skokom mody, a raczej przechodzi gwałtowną ewolucję, zmierzając do najdokładniejszego dostosowania stroju do wymogów danego sportu, o ile początkowo estetykę wyrzucało się niemal za nawias. Narciarka w pełnym rynsztunku wyglądała właściwie jak „tłumoczek", szczelnie opatulony marszczonymi w pasie i nogawkach spodniami.

Obecnie wiatrówki i spodnie z flaneli coraz mniej są w użytku, zastąpiły je o wiele zgrabniejsze kurtki z ciepłych, wełnianych materiałów lub zamszu. Krój tych kurtek jest dowolny, zasadniczą cechą ich jest pełna swoboda ruchów, przy na ogół szczelnym obleganiu figury i dlatego właśnie kurtkę taką musi zrobić krawiec lub krawcowa, dobrze znający krój i anatomię.

Są zasadniczo trzy rodzaje kurtek sportowych. Są one bardzo różne. Pierwsza o licznych kieszonkach, zapina się na płaskie klamry z przodu. Wymaga ona pod spód grubego swetra, z kołnierzem, poza tym nosi się do niej szalik, zawiązany pod brodą w płaski węzeł, nie tylko dla ozdoby, lecz żeby zabezpieczyć przed zaziębieniem krtań. Wcięta, z krótką baskinką, nie wymaga paska. Może być gładka, w tym samym kolorze, co spodnie, ożywiona tylko barwnym swetrem, szalem i czapką, albo w kraty, co jest dziś bardzo noszone i ślicznie wygląda na śniegu. Tak, jak i obecne suknie i rękawy u nasady zaopatrzone w zakładki, lecz nie marszczone. Już z porządnego gatunku wełny można zrobić taką kurtkę w granicach 30—40 złotych. Nie jest to tanio, lecz nie zapominajmy, że jest to wydatek na parę lat i z tego względu nie jest wskazana zbytnia oszczędność na gatunku materiału, tak kurtki sportowej, jak i spodni. Materiał na ten cel kupowany musi być miękki, elastyczny i gęsto tkany.

Ze spódniczką pożegnałyśmy się w strojach sportowych, zrozumiawszy przede wszystkim, że spodnie dają większą gwarancję bezpieczeństwa i ciepła. Na bardzo zresztą efektowne i krótkie spódniczki, noszone na spodeńkach z tego samego materiału, mogą sobie pozwolić tylko mistrzynie nart, bardzo pewne swych ruchów. Wszelkie podniesienie się z upadków, w tych sportach nieuniknionych, z zapłątania się nóg we własne narty, jest znacznie łatwiejsze i prostsze przy spodniach.

Istnieją jeszcze fantastyczne zwolenniczki „jupe - culotte". Wprawdzie w bezruchu są one ładne, dużo gorzej jednak wyglądają przy karkołomnych pozach zjazdów ze zbocza. Mają jeszcze jeden zasadniczy defekt, że są luźne u dołu, przeto wymagają bardzo ciepłego spodniego ubrania.

Długie spodnie, ujęte u dołu w gumkę, są praktyczniejsze i wydłużają nogi narciarek, aczkolwiek najpraktyczniejsze są nieco krótsze, zakończone mankietem włóczkowym, który wpuszcza się w buciki, pod skarpetki. Dzięki tym mankietom spodnie trzymają się znakomicie, a trykotowa tkanina, będąc miękka, nie pogrubia kostki, oblega ją ściśle i nie dopuszcza śniegu do skarpetki.

Wspomniałam, że istnieją trzy zasadnicze rodzaje kurtek, a opisałam dopiero jeden. Otóż kurtka, którą można nazwać kurtką nr. 2. jest właściwie zmodernizowaną kamizelką, nieco lżejszą, bo wyciętą u góry, odsłaniającą mostek. Natomiast idealnie szczelna i bardzo zgrabna jest kurtka nr. 3, przypominająca liberię „boy'a". Podwójna warstwa wełny na piersiach, dzięki plastrowi, chroni klatkę piersiową przed pędem wichru, a pasek obciskający szczelnie, również zabezpiecza przed przewiewem.

E. J. S.

Świat i życie

Niebezpieczny wróg renów

Ryś, zamieszkujący obecnie prawie wyłącznie lasy wschodniej i północno-wschodniej Europy, należy do najbardziej krwiożerczych bestyj w tym rejonie naszego globu. Ryś rzuca się nie tylko na większego zwierza, ale nie gardzi drobniejszym, nie wyłączając nawet gryzoniów i ptaków. W Finlandii północnej i wschodniej zwierzę to ścigane jest, jako niebezpieczny wróg renów. Lapończycy w pościgu za rysiem wykazują wiele cierpliwości i przebiegłości. Pościg taki, prowadzony poprzez śniegiem pokryte pola na nartach, trwa niekiedy całymi dniami. Ścigane zwierzę wygłodzone, chroni się zazwyczaj na jedno z najbliższych drzew i wtedy rozgrywa się jedna z najdziwniejszych scen polowania. Lapończycy bowiem nie strzelają do rysia, lecz chwytają go na pętlę, zręcznie zarzucane na łapy i starają się jednym rzutem wpakować bestię do worka. Nie obywa się przy tym bez pokąsań i zadrapań ze strony rozpaczliwie broniącego się zwierzęcia.

Odnaleziono czaszkę człowieka jawajskiego

Kierownik ekspedycji geologicznej w Indiach holenderskich, dr. van Koenigsvald, odnalazł na wyspie Jawie czaszkę t. zw. człowieka jawajskiego.

Przedhistoryczny człowiek z Jawy, którego resztki szkieletu odnalazł w Trinil na Jawie w 1891 roku badacz francuski dr. Dubois, jest zdaniem antropologów, pośrednim ogniwem w rozwoju ludzkości od prymitywów. Czaszka człowieka jawajskiego jest o połowę mniejsza od czaszki goryla i wskazuje na istnienie dobrze rozwiniętego mózgu.

Odkrycie dra Koenigswalda pozwoli uczonym na rekonstrukcje całego szkieletu człowieka jawajskiego przy posiłkowaniu się odkrytymi przez dra Dubois resztkami szkieletu.

Ze świata

Ameryka przoduje w „telefonizacji" świata

Dokonano ostatnio zestawienia cyfr, dotyczących nasilenia sieci aparatów telefonicznych na całym świecie. Jak się okazuje, przeciętnie na 100 mieszkańców wypada telefonów w USA. — 13,69, w Kanadzie — 10,59, w Szwecji — 10,28, w Szwajcarii — 9,59, w Australii — 7,92, w Norwegii — — 7,05, w Anglii wraz z Irlandią — 5,44, w Niemczech — 4,85, w Holandii — 4,32, w Belgii — 4,09, w Austrii — 4, w Finlandii — 3,94, we Francji — 3,38, w Argentynie — 2,64, w Japonii — 1,62, na Węgrzech — 1,47, w Hiszpanii — 1,38, w Czechosłowacji — 1,25, w Italii — 1,25, w Chile — 1,21, na Kubie — 0,93, w Polksce — 0,58, w Meksyku 0,61, i w ZSRR. — 0,49.

W statystyce poszczególnych miast przoduje Waszyngton — 36,71 telefonów na 100 mieszkańców (a więc co trzeci mieszkaniec, czyli każda rodzina ma telefon!), dalej idzie San Francisco, Sztokholm, Chicago, Zurych, Kopenhaga, New York — 20,95, Paryż — 14,53, Londyn — 13,30, Berlin P— 12,15, Honolulu — 11,91, Wiedeń — 9,85, Rzym, Gdańsk, Praga, Madryt, Budapeszt — 6,39, Warszawa — 5,31, Lizbona, Bukareszt, Marsylia Moskwa — zaledwie 3,53, Leningrad itd.

Na wzór europejskiej radiofonii

— Kanada pierwsza w Ameryce wprowadza organizację radia na wzór europejskiej radiofonii. Wprowadzone będą opłaty abonamentowe za posiadanie odbiornika.

— W Japonii wprowadzono głośniki do pociągów pasażerskich, dzięki czemu podróżni informowani są stale o nazwie stacji do której pociąg się zbliża.

— Niektóre pisma codzienne w Stanach Zjednoczonych zamierzają zaopatrzyć swoich reporterów w krótkofalowe stacje nadawcze.



Uwaga! Za chwilę padnie biały pocisk

Największy szmaragd

W londyńskim muzeum historii naturalnej znajduje się największy i najcenniejszy na świecie szmaragd „Devonshire". Jest to największy kryształ tego szlachetnego kamienia w postaci surowej. Znaleziono go w jednej z kopalń stanu Kolumbia. Kryształ ten został później kupiony przez cesarza brazylijskiego, który go po swej abdykacji przywiózł do Europy. Przed rokiem nabył go znany arystokrata ks. Devonshire, który nadał mu równocześnie obecną nazwę. Książę zgodził się jeszcze w ciągu 3 lat wystawić na widok publiczny ten niezwykły okaz szlachetnego kamienia. Szmaragd ma 5 cm. długości i waży 10 uncji. Strzeżony jest przez specjalnych detektywów.

300 000 za trzy wybite zęby

I to nawet nie w Ameryce tylko we Francji, zażądała śpiewaczka kabaretowa Maud Loty tytułem odszkodowania. Artystka jadąc samochodem uległa wypadkowi wskutek nieostrożności kierowcy w rezultacie czego zaskarżyła go o odszkodowanie w wysokości 300.000 fr. Jako powód tak wysokiego szacunku trzech wybitych zębów podała fakt, że odgrywały one niezwykłą rolę w jej karierze teatralnej. Dzięki nim mogła ona łudząco naśladować charakterystyczną wymowę gen. Cambronne. Artystka twierdzi, że obecnie nie może wymówić pięciu najważniejszych do tego celu liter.

100.000 fr. za ząb, lub 60.000 fr za literę — to jeszcze niezbyt dużo wobec strat, jakie poniesie Maud Loty wskutek odniesionej szpetoty.

Młodociany olbrzym

W jednej z osad pod Stambułem budzi sensację czteroletni chłopiec, syn rolnika Achmeda Halila. Cudowne to dziecko waży już teraz 130 funtów a wzrost jego odpowiada wzrostowi dorosłego człowieka.

W szóstym miesiącu życia dziecko zaczęło rosnąć i rozwijać się fizycznie z niesłychaną szybkością, co wzbudziło kolosalne zdumienie wśród mieszkańców osady, którzy odwiedzali tłumnie dom Halila podziwiając wielkoluda dopiero co wyrosłego z kołyski. Obecnie czteroletni wielkolud pozostaje pod obserwacją komisji lekarskiej.

Rak leczony metodą zamrażania

Na zebraniu organizacyj lekarskich American College on Surgeons profesor uniwersytetu dr. Temple Fay odczytał sprawozdanie ze swych prób leczenia raka zapomocą zamrażania.

Dr. Fay zaznaczył, że wszystkie swe doświadczenia przeprowadzał na ludziach i że osiągnął korzystne wyniki nawet w wypadkach daleko już posuniętej choroby.

Odczyt Fay'a wywołał duże zainteresowanie w kołach lekarskich.

Zastrajkowały... rekiny

Oryginalny strajk wybuchł w ogrodzie zoologicznym, mieszczącym się w parku Taronga w Sidney. Znajduje się tam olbrzymie akwarium, w którym trzymane są jako curiosum jedyne na świecie żyjące w niewoli rekiny. Utrzymanie tego akwarium jest bardzo kosztowne, tym bardziej, że każdy z rekinów spożywa dziennie kilkadziesiąt funtów ryb.

Ostatnio dozorcy ogrodu zoologicznego zauważyli ciekawe zjawisko. Oto ryby wrzucone do akwarium jako żer dla rekinów zostały przez nich nietknięte przy czym ten sam objaw powtórzył się również w następnych dniach.

Dziwny ten strajk głodowy rekinów wywołał oczywiście niemałe poruszenie wśród personelu ogrodu zoologicznego, a dyrekcja zwróciła się do wybitnych ichtiologów celem zbadania tego niezwykłego zjawiska.

ADAM CZEKALSKI.

JEDWABIE

NOWELA.

Pani Giga jechała pociągiem kurierskim niezwykle zadowolona i już w myślach cieszyła się z wrażenia, jakie zrobi na swoich przyjaciółkach, kiedy im pokaże po powrocie do domu wspaniałe jedwabie, jakie wiozła z sobą. Wracając bowiem z wystawy międzynarodowej w Paryżu przez Niemcy, kupiła za bajecznie niską cenę kilka metrów prześlicznych jedwabi. Nie podobnego nie widziała na żadnej wystawie sklepowej w kraju, to też nic dziwnego, że skoro tylko zobaczyła w Berlinie te wspaniałości, zapaliła się natychmiast do nich.

Pociąg mknął naprzód, oznajmiając się tylko na niektórych stacjach i przystankach donośnym rykiem syreny, a pani Giga, zasunięta głęboko w siedzenie, snuła rozkoszne myśli. Chwilami tylko przejmował ją zimny dreszczyk, kiedy przychodziły myśli o kontroli celnej w Zbąszynie, ale te wnet odpędzała od siebie.

Na jednej z większych stacji do przedziału pani Gigi wszedł elegancki młody człowiek i usadowiwszy się, prawie bezzwłocznie próbował nawiązać z nią rozmowę. Jednakże pani Giga dłuższy czas politykowała, obserwując uważnie nieznajomego pasażera i w końcu, orzekłszy, iż to żadną miarą nie może być celnik, wdała się z nim w wesołą pogawędkę.

Zanim przyjechali do granicy, pani Giga zwierzyła nieznajomemu słodką tajemnicę, nie mając słów zachwytu nad jedwabiami, które wiozła, okręcone na własnym swoim ciele.

— Jak pan przypuszcza — mówiła — czy rewizja celna w Zbąszyniu będzie bardzo surowa? Pierwszy raz znajduję się w podobnej sytuacji, to też, sądzę, że pojmuje pan moje obawy.

— Niech pani będzie spokojna — odrzekł nieznajomy — tym razem rewizja będzie zapewne tylko pobieżna. Wszakże cały ten pociąg zajęty jest przez wracających z wystawy wycieczkowiczów.

Uspokojona zapewnieniami nieznajomego, pani Giga wyzbyła się wnet lęku i pomyślała w tej chwili, tak bardzo ucieszy się mąż, kiedy pokaże mu te wspaniałe tkaniny, kupione za tak bajecznie niską cenę. Pewnie też nie będzie jej robił wymówek, że tak wiele pieniędzy wydała. Te jedwabie, takie tanie, a jednak piękne, podbiją go na pewno.

Pociąg zatrzymał się z hukiem i zgrzytem w Zbąszyniu. Nieznajomy wysadził panią Gigę i oboje poszli na komorę celną. Stary celnik z wąsami jak u suma, stał obok i przeważnie kontentował się zapewnieniami pasażerów, że nic nie mają do oclenia. Kiedy przyszła kolej na panią Gigę, ta uśmiechnęła się do starego celnika rozkosznie i na zapytanie odrzekła:

— Nie, proszę pana, nie mam nic takiego, co nadawałoby się do oclenia. Ale nagle ozwał się tuż za nią głos nieznajomego:

— Przepraszam, ta pani kłamie. Wiezie z sobą 6 metrów jedwabiu niemieckiego, który ma okręcony na własnym ciele.

Wstyd, gniew wściekły zapaliły się na twarzy pani Gigy. Nie było rady. Musiała odejść do osobnego pokoju i poddać się rewizji dwóch kobiet, które tam na nią czekały. A nieznajomy, przeszedłszy cło bez żadnej rewizji, dodał jeszcze w formie objaśnienia do celnika:

— Interes skarbu państwa jest interesem każdego uczciwego obywatela.

Zdesperowana i do najwyższych granic zdenerwowana, wróciła pani Giga do pociągu i w przedziale natknęła się znowu na tego samego nieznajomego. Obrzuciła go gorzkimi wymówkami za takie niecne postąpienie z nią. Kiedy pociąg już ruszył, nieznajomy, wciąż śmiejąc się z jej gniewu, rzekł:

— Cóż znaczyły pani 6 metrów jedwabiu wobec moich stu metrów, które wiozę z sobą. Musiałem tak postąpić, inaczej mógłbym był utracić moją partię.

Pani Giga zaniemówiła tym razem od wrażenia.

Powrócił z Indyj słynny niemiecki podróżnik dr. W. Filchner. Na zdjęciu uczony w towarzystwie córki.



z czasów, gdy była kochanką barona Sturmfedera i obawiała się, że ten ją pozna i zdradzi baronowej jej przeszłość.

— Kochana Emo — rzekła Mala do garderobianej hrabiny Dornbruch — moja pani baronowa dzwoni jak na ogień.

— Wieczna bieganina i męka! — odpowiedziała Ema zła i rozgniewana — nie dają człowiekowi nawet chwili spokoju i wypoczynku.

— A ja taka nieubrana i tak nieporządnie wyglądam, że się wprost wstydzę zejść, bo tam są goście. Czy nie chciałabyś mnie wyręczyć? Ja się kiedyś odwdzięczę.

Wtem znów odezwał się dzwonek.

— Dlaczegobym miała być taka nieuczynna? — rzekła Ema — pójdę zobaczyć, czego ta Ada tak się niecierpliwi. Spokojnej chwili człowiekowi nie dają! — dodała i pobiegła do cieplarni.

— Gdzie jest Mala? — zapytała ostro.

— Jest chora i dlatego przyjść nie może — kłamała Ema — leży w gwałtownych kurczach.

— Proszę pomóc mamie zajść do sypialni — rozkazała Ada, a potem mruknęła:

— Tego jeszcze brakowało, aby Mala zachorowała!

Oparta o ramię Emy, wyszła hrabina Dornbruch z pokoju, odczuwając bardzo boleśnie brak serca swej córki, która troskę o nią poruszyła służącej, a sama została z gościem.

Książę Petöfy otworzył drzwi i okazał się bardzo współczującym, ale hrabina zdawała się nawet nie zwracać na to uwagi.

— Pani hrabinie znów gorzej? — zapytała Ema ze szczerym żalem, bo była do hrabiny prawdziwie przywiązana — może posłać po doktora?

— Nie — rzekła hrabina — popatrz tylko, gdzie jest Mala? Niech ona ci pomoże mnie rozebrać, bo czuję się bardzo źle.

Ema zadzwoniła, a Mala zjawiła się niezwłocznie w sypialni hrabiny i zaczęła się koło niej krzątać. Zaciemniła pokój, rozpyliła eter jodłowy i podała chorej uspakajające krople, położywszy ją pierwej do łóżka, a potem zapytała cicho:

— Czy mam zawołać pana hrabiego?

— Tak, lecz proszę go nie przestraszyć — odparła hrabina.

Mala przygładziła włosy chorej, włożyła jej świeży czepeczek i podała czystą chusteczkę, a wziąwszy do rąk używaną, aby ją dać do brudów, zobaczyła ciemne, krwiste plamy. Zbladła i łzy zakręciły się jej w oczach.

— Dobra Malo — szepnęła chora dama, a Mala schyliła się i pocałowała ją serdecznie w rękę.

Przystanęła na chwilę i namyślała się, czy powiedzieć hrabinie, na jak złej drodze jest jej córka. Ale w następnej chwili odrzuciła ten pomysł.

— To by ją zapędziło do grobu — szepnęła — a jeśli baronowa ma choć odrobinę serca, to nie będzie romansowała, podczas gdy matka jej jest śmiertelnie chora.

Na palcach wysunęła się Mala z pokoju i odszukała hrabiego Dornbruch.

— Jaśnie panie hrabio — rzekła smutnie — obawiam się, że pani hrabinie bardzo się pogorszyło. Czy mam posłać po doktora?



Na chwilę przed występem. Ostatnie przygotowania girlsów londyńskich przed wyjściem na scenę.

Pani hrabina nie życzy sobie tego wprawdzie i zakazała mi ostro nie przestraszać pana hrabiego, ale ja mam to sobie za obowiązek, powiedzieć panu hrabiemu całą prawdę. Pani hrabina bardzo mocno kaszlała.

Hrabia podskoczył z krzesła.

— Dziękuję ci Malo — rzekł — niech Jan natychmiast biegnie po doktora. Czy pani hrabina leży?

— Pani hrabina przed chwilą położyła się do łóżka, odparła garderobiana.

— Gdzie jest pani baronowa? — spytał następnie hrabia.

— Pani baronowa ma gości — uniewinniła ją Mala.

Twarz chrabiego zachmurzyła się.

— Bez serca, jak zawsze — szepnął i pospieszył do żony. Stroskany ,pochylił się nad jej łóżkiem i zaczął ją całować po rękach.

Na skinienie hrabiego wysunęła się Ema cicho z pokoju.

— Kochana żono — zaczął hrabia — poznaję, że ci jakaś troska ciąży na sercu. Ulżyj sobie, wygadaj się przede mną. Przez tyle lat wspólnego i szczęśliwego pożycia naszego, dzieliliśmy jak dobrzy towarzysze wszystkie nasze uciechy i troski i dobrze nam z tym było. Nie zmieniaj więc i teraz tego trybu!

— Nie mogę dłużej przed tobą ukrywać — rzekła chora — że mnie stosunek Ady do Egona coraz bardziej niepokoi. Jest jasne, że nie żyją oni ze sobą szczęśliwie, mimo, że starają się to przede mną upiększać i maskować.

— Nie jest to tak źle, jak myślisz, kochaną — pocieszał ją hrabia — Egon jest zawsze nadzwyczaj uprzedzająco grzeczny dla Ady, a ona nie daje mu powodu do niezadowolenia.

— Mimo to dzieli ich jakaś przepaść — odpowiedziała hrabina. — Trzeba ci wiedzieć, że Egon, spędza noce poza domem. Możliwe, że gra w karty, bo ma teraz zawsze dużo pieniędzy, albo ma inne jakieś dochody.

— Moja kochana, daremnie się tym niepokoisz — rzekł hrabia serdecznie. — Przyznaję, że Egon gra w karty, ale to jeszcze nie powód, abyś sobie zatruwała życie i niszczyła zdrowie. Jest to błędem wielu młodych ludzi, a nie przeszkadza mu to wcale, być dobrym mężem. Jestem pewien, że Ada nie czuje się nieszczęśliwą. Nie jest ona tak szczęśliwa, jak ty. Ciebie by taki powierzchowny stosunek unieszczęśliwił, lecz jej to zupełnie wystarcza! Wreszcie nikt ją do tego związku nie zmuszał. Byliśmy zawsze dla niej dobrymi i pobłażliwymi rodzicami. Gdybym wiedział, że ona woli sama w domu naszym zostać, wpłynąłbym na barona, aby na czas jakiś wyjechał za granicę.

Hrabina przerwała mu głębokim westchnieniem i ująwszy rękę jego, rzekła:

— Musisz mi święcie obiecać, że Ady nigdy nie opuścisz i nigdy się jej nie wyrzekniesz, cokolwiek by się stało!

— Przysięgam ci to — odpowiedział hrabia uroczystym tonem, wzruszony tym nowym dowodem miłości macierzyńskiej.

— Dziękuję ci, kochanie — szepnęła hrabina — przyrzeczeniem tym, zdjąłeś mi wielki ciężar z serca. Czuję się teraz silniejszą i spokojniejszą. Może będę mogła trochę zasnąć.

— Spróbuj, moja droga — prosił ją hrabia i usiadł obok jej łoża.

Jan nie zastał doktora w domu, a gdy tenże nareszcie się zjawił w pałacu, hrabina Dornbruch zbudziła się właśnie z pokrzepiającego snu.

Było jej o tyle lepiej, że doktor oświadczył, iż nie ma wiele powodu do obawy i że hrabina musi się teraz wystrzegać irytacji.

Życie w pałacu Dornbruch szło dalej zwykłym trybem.

Gdy Mala wieczorem rozbierała baronową, zauważyła, że w kieszeni jest coś ciężkiego. Zaciekawiona obmacała kieszeń i rozpoznała, że był to klucz średniej wielkości i niezwykłej formy.

— Ach — mruknęła Mala i uśmiechnęła się znacząco. Domyśliła się natychmiast, co ten klucz ma znaczyć.



Król Karol rumuński wziął udział w tradycyjnej uroczystości święcenia wody. Na zdjęciu król Karol w drodze do brzegów Dombownicy.

— Trzeba dać znać stangretowi, że ja jutro rano chcę być na mszy w kościele — rzekła Ada do swej garderobianej.

— Do którego kościoła? — spytała Mala.

— Do kościoła św. Szczepana — rzekła Ada krótko, proszę mnie wcześnie zbudzić.

— Jak pani baronowa rozkaże — odpowiedziała Mala — życzę pani baronowej dobrej nocy!

— Hm, mruknęła garderobiana, wychodząc z sypialni baronowej. — Chce mi ona oczy zamydlić. Ale ja się już przekonam, co to za kościół!

— — — — — — —

Nazajutrz rano zbudziła Mala baronową wcześniej, wedle rozkazu.

Ada wybrała skromną, ciemną, jedwabną suknię, duży kapelusz, którego kresa ocieniała jej całą twarz i luźne okrycie, które dobrze osłaniało jej postać.

Z modlitewnikiem i różańcem w ręku wsiadła do powozu. Mala zaś pobiegła szybko do swej izdebki, włożyła jakąś starą, niemodną sukienczynę, obwiązała głowę chustką tak, że jej tylko oczy było widać i zbiegła tylnymi schodami na ulicę. Przeleciała kilka domów przechodnich i wąskich uliczek i wkrótce stanęła zasapana i spocona przy kościele św. Szczepana, — właśnie w chwili, gdy kareta hrabiów Dornbruch zajechała przed portal.

Widziała baronową Sturmfeder, wysiadającą z powozu i wszedłszy za nią do kościoła spostrzegła, że Ada przeszła przez główną nawę i nie zatrzymując się ani na chwilę w domu Bożym, wyszła przez małą, niepozorną furteczkę.

Mala wyszła za nią i gdyby się Ada odwróciła i zobaczyła swoją garderobianę, idącą krok w krok za nią, nie byłaby jej w tym przebraniu poznała.

Baronowa przeszła plac św. Szczepana i zbliżyła się do małej, skromnej kamienicy, która prawie nikła w otoczeniu dwóch okazałych domów, które o nią dotykały.

Bystre oko Mali spostrzegło, że baronowa wyjęła z kieszeni klucz, który ona wczoraj w sukni swej pani namacała i że otworzyła nim drzwi wchodowe tej kamieniczki.

— Aha! — mruknęła Mala ze złośliwym uśmiechem.

Triumfowała, myśląc o Egonie, ale żal się jej zrobiło, gdy pomyślała o biednej hrabinie. Wiedziona złym przeczuciem, pobiegła Mala niezwłocznie.

Widok, który jej się przedstawił, był rozdzierający serce.

Hrabina była widocznie po krwotoku, gdyż pościel i ubranie zupełnie były zbroczone. Leżała śmiertelnie blada, a hrabia stał przy dzwonku i niecierpliwie dzwonił. I jego twarz była blada i zmieszana.

— Gdzie jest pani baronowa? — spytał wchodzącą Malę ochrypłym głosem.

— Jest na mszy — była odpowiedź garderobianej, a serce jej biło silnie.

— Posłać natychmiast po nią i po doktora równocześnie — rozkazał hrabia — prędko, bo hrabina umiera!

Mala wybiegła z pokoju, załamała ręce.

— Boże miłosierny — zawodziła — ta wyrodna córka rozkoszuje się teraz w objęciach swego kochanka, podczas, gdy matka jej umiera! Matka Boska, ja bym dla swojej matuli wszystko była zrobiła, gdyby biedaczka żyła!

Stanęła na chwilę, aby przyjść do siebie, a potem poszła pozornie spokojnie podać dalej otrzymane rozkazy.

Służba rozleciała się równocześnie po lekarzy i po księdza dla konającej.

Mala, otarłszy łzy i zdjąwszy buciki, wsunęła się na palcach do pokoju chorej, aby zobaczyć, czy jej czegoś nie potrzeba.

Gdy się zbliżyła do jej łoża, hrabina otworzyła oczy i mrugnęła na Malę, wzywając ją do siebie. Potem podała jej zmięty w kłębek list, który trzymała kurczowo w pięści i szepnęła:

— Proszę to wrzucić do ognia, nie oglądając, co to jest!

Mala wrzuciła podany sobie papier do kominka, na którym palił się ogień.

Z wrodzoną sobie domyślnością, dorozumiała się Mala zaraz, że musiał to być anonimowy list do hrabiny z podejrzeniem na Adę.

Ona to życiem przypłaci — pomyślała garderobiana z współczuciem.

— Gdzie jest moja córka — jęknęła hrabina.

— Pani baronowa jest na mszy w kościele — odpowiedziała Mala — posłałam już po panią baronową i spodziewam się, że niebawem wróci.

— Czy na pewno? — badała chora. — Ado, Ado, ja cię jeszcze muszę przed śmiercią zobaczyć!

Okrzyk ten wzruszył Malę do głębi.

— Nie — pomyślała — to nie może być, aby ta godna, dobra osoba umarła, nie zobaczywszy wprzód swego jedynego dziecka. Ja się o to postaram!

Ułożyła prędko plan działania.

W tej chwili wprowadziła Ema jednego z przywołanych lekarzy, a Mala wybiegłszy szybko z pokoju chorej, włożyła buciki i wybiegła jak strzała tylnymi schodami na ulicę. Pędziła jak szalona bez kapelusza i bez narzutki najkrótszą drogą ku kościołowi św. Szczepana.

Przebiegła szybko główną nawę, nie zatrzymując się nawet przy święconej wodzie, bo zobaczyła, że powóz baronowej zawsze jeszcze czeka przed kościołem.

Wszyscy obecni spojrzeli gniewnie na śpieszącą dziewczynę, ale ona tak była zirytowana, że tego nawet nie spostrzegła. Otworzyła boczną furteczkę i nie zamknąwszy jej nawet za sobą, skierowała się w stronę domku, do którego widziała niedawno wchodzącą baronową.

Ale zaszła nieprzewidziana trudność. Drzwi wchodowe były zamknięte i nie było dzwonka. Zrozpaczona Mala zaczęła stukać pięściami o drzwi, tak silnie jak tylko mogła i potrącała nimi gwałtownie.

Z sąsiedniego pałacu wyszedł służący w sutej liberii i zbliżył się do Mali, patrząc na nią ciekawie.

— Szkoda rąk, piękna panienko — rzekł wreszcie — daremna robota!

— Ale ja muszę wejść do tego domu! — zawołała Mala — i wyglądała tak rozpaczliwie, że dobremu lokajowi żal jej się zrobiło.

— Chodź panienko za mną — rzekł — ja panienkę poprowadzę, bo mi panienki żal!

To mówiąc, wziął ją za rękę i wprowadził ją do pałacu, z którego właśnie wyszedł. Gdy stanęli w ogrodzie, rzekł znów:

— Teraz pomogę przejść panience przez ten mur, który odgranicza nasz ogród od podwórza tego sąsiedniego domu, do którego panience, tak pilno. Drzwi od podwórza do tej kamienicy pewnie będą zamknięte. Poczekam tu kilka minut. Jeśli się panienka do wnętrza domu dostanie to dobrze, a jeśli nie, to podam panience drabinę, aby tędy znów na ulicę wrócić mogła.

— Jaki pan dobry — rzekła Mala wdzięcznie.

— Kto by dla takiej pięknej dziewczyny mógł być złym — odpowiedział lokaj — i złapawszy Malę za pas, przesadził ją przez niski mur graniczny.

Zeskoczywszy, znalazła się Mala na zaniedbanym, brudnym podwórzu, które szybko przebiegła, zdążając do niskich, niepozornych drzwi. Drżącą ręką dotknęła klamki.

Dzięki Bogu i chwała Mu! Drzwi nie były na klucz zamknięte. Mala otworzyła je gwałtownie i weszła do wnętrza domu.

— Pani baronowo! pani baronowo! — krzyknęła donośnym, lecz ochrypłym głosem — chodź pani prędko, na miłość Boską! Pani hrabina umiera! Prędko, prędko!

Trąby sądu ostatecznego nie mogły były Adę śmiertelniej przestraszyć, niż ten krzyk Mali. Trupio blada wyrwała się z objęć księcia i wybiegła na spotkanie swej garderobianej.

— Czy ona — czy ona? — jąkała się baronowa, nie mogąc wykształcić słów: Czy ona już umarła?

— Nie żyje jeszcze! — uspokoiła ją Mala i dodała:

Pani hrabina dostała anonimowy list z ciężkim oskarżeniem na panią baronową i tak się tym zmartwiła i zirytowała, że dostała wybuchu krwi. Ja zapewniłam ją, że pani baronowa jest na mszy i posłałam lokaja do kościoła po panią!

Ada chciała wybiec bez kapelusza i płaszcza. Zimne jej serce obudziło się; opanowała ją straszna obawa, że dobra jej matka gotowa umrzeć, nim ona zdąży uzyskać jej przebaczenie i ostatnie błogosławieństwo.

Ale Mala zagrodziła swej pani drogę.

— Na Boga Świętego! Co pani baronowa robi? — perswadowała jej garderobiana — gdzie płaszcz i kapelusz? Przecież tak pani baronowa nie może wyjść na ulicę!

— Oto są — odezwał się w tej chwili rudy Petöfy — wychodząc z sąsiedniego pokoju, z którego dotychczas nadsłuchiwał co się stało.

Mala włożyła swej pani prędko kapelusz i przewiesiła jej płaszcz, pytając równocześnie o jej rękawiczki, modlitewnik i różaniec.

Książę podał jej żądane drobiazgi, a Ada tak była przerażona, że się nie mogła utrzymać na nogach.

— Niech się pani baronowa napije trochę wina — radziła Mala.

Książę pobiegł usłużnie po wino.

— Niech mnie Mala nie opuszcza i nie zdradza! — błagała Ada swą garderobianę.



Max Schmeling, na krótko przed spotkaniem z Ben Fordem, zabawia się beztrosko z dziatwą.

Gdzie się podziała duma? Ona, dumna baronowa Ada, upokorzyła się tak dalece przed swą służącą, że ją o opiekę prosiła! Role ich teraz były zamienione. Teraz Mala była panią sytuacji, a Ada musiała być pokorną.

Lecz Mala nie nadużywała swego korzystnego położenia.

— Nie zdradzę pani baronowej. Niech się pani baronowa tylko na miłość Boską sama nie zdradzi! Proszę się uspokoić, spokojnie wyjść z kościoła i wejść do karety, tak jakby pani baronowa jeszcze nic o tym nieszczęściu nie wiedziała! Nikt nie śmie przeczuwać, że ja się z panią baronową teraz widziałam! Lecę prędko do domu, aby tam jeszcze być przed panią i wybiegnąć na jej przyjęcie.

Tymczasem książę nalał wina do szklaneczki i prosił baronową, aby się napiła, ale ona nie chciała nawet o tym słyszeć.

— Otwórz drzwi — jęknęła — i puść mnie, bo padnę tu nieżywa. Słyszysz? Ja muszę się spieszyć!

Milcząc, spełnił rudy książę życzenia, a raczej rozkaz swej kochanki.

Mala wybiegła pierwsza, a Ada pospieszyła za nią dręczona śmiertelną obawą, że matki swej już nie zastanie przy życiu.

Nie pożegnała się nawet z księciem, który został zły i zdenerwowany całą tą sceną.

— Fatalne zakończenie — mruknął — gdyby hrabina teraz umarła, to nasz stosunek by się przez to sam przez się zerwał. Co za przebiegła osoba, ta garderobiana baronowej. Co to jest, że mi się jej twarz wydawała tak dziwnie znaną? Gdzieś ją kiedyś musiałem widzieć, ale gdzie? Mniejsza zresztą o to!

Inna, bardzo niepokojąca myśl zaczęła go trapić.

Gdyby spotkanie moje z Adą tu się rozgłosiło — medytował — byłby nieunikniony pojedynek między mną a Sturmfederem. Nie obawiam się barona jako przeciwnika; boję się tylko niełaski cesarskiej. W tym wypadku już nawet słabość moja nie uchroniłaby mnie od długiego więzienia w twierdzy. Spodziewam się, że Ada nie będzie tak niezręczną, aby siebie i mnie zdradzić!

Nie miał on ani cienia współczucia dla Ady i myślał tylko o sobie i swoim bezpieczeństwie. Gdyby teraz Ada mogła była zaglądnąć w jego serce!

Nieszczęśliwa kobieta doszła do kościoła św. Szczepana i ledwie dostała się przez ową furteczkę do wnętrza, zobaczyła swego służącego, który przystąpił do niej zadyszany.

— Chwała Bogu, że panią baronową wreszcie znajduję — rzekł uradowany — szukałem już po całym kościele!

— Czy się stało co złego? — spytała Ada zbielałymi ustami.

— Pani hrabina ciężko zachorowała — rzekł lokaj — i życzy sobie widzieć panią baronową.

Ada mruknęła coś ochrypłym głosem i wyszła śpiesznie z kościoła.

Ignacy wyszedł za nią, kiwając głową. Nie pojmował tego, że baronowa nie wybuchła głośnym płaczem i lamentem.

— Nie bardzo się zmartwiła — pomyślał.

Ale myślą tą czynił Adzie krzywdę. Nic w życiu nie przeraziło jej jeszcze tak strasznie, jak to nagłe pogorszenie stanu jej matki. W głowie jej się mąciło! Padła ciężko na poduszki powozu, a tak była zmieszana, że jej to nawet nie zdziwiło, w jaki sposób ją Mala mogła odszukać i skąd się o miejscu pobytu jej dowiedziała.

Od czasu do czasu szeptała:

— Moja matka umiera! Moja dobra matka umiera, a ja ją zamordowałam!

Patrzała niecierpliwie na okna powozu. Zdawało jej się, że konie posuwają się jak ślimaki i że droga końca nie ma!

— Prędzej! na miłość Boską, prędzej! — krzyczała, nie obliczając, że stangret w żaden sposób z zamkniętej karety słyszeć jej nie mógł.

Wreszcie zatrzymała się kareta przed pałacem hrabiego Dornbruch, a Mala zbiegła przez szerokie schody, i nim jeszcze lokaj zeskoczył ze swojego siedze-



Angielscy policjanci w Palestynie zostali zaopatrzeni w specjalne koszulki stalowe, dla ochrony przed strzałami w czasie częstych zaburzeń.

nia, otworzyła ona już drzwiczki powozu i pomogła swej pani przy wysiadaniu.

Ada spojrzała na nią z niemym, ale wymownym pytaniem.

— Pani hrabina żyje — mruknęła Mala i podawszy swej pani ramię, zaprowadziła ją do sypialni jej matki.

Gdy hrabina zobaczyła wchodzącą córkę, anielski uśmiech rozpromienił jej rysy.

Była teraz pewną, że córka jej jest niewinną, skoro lokaj, po nią wysłany, znalazł ją w kościele.

Szlochając, padła Ada na kolana przed łożem swej matki.

Hrabina położyła swą prawicę błogosławiąco na złotą główkę córki.

— Niech cię Bóg ma w swej opiece moje dziecko, szepnęła.

Były to ostatnie jej słowa. Dusza jej przeniosła się w owe krainy, w których nie ma bólu i cierpienia. Umarła z przekonaniem o niewinności swej córki, a myśl o tym osłodziła jej konanie.

Było to zasługą Mali, a dobry uczynek ten zaważy pewnie kiedyś ciężko na szali jej zasług wobec sądu Przedwiecznego.

Głośny płacz i szlochanie powstało w pałacu Dornbruch. Wszyscy, aż do parobka stajennego i dziewki kuchennej czuli, że ponieśli wielką, niepowetowaną stratę.

Stali tak przerażeni w grupach chwaląc jej dobroć i żałując niezmiernie, gdy wtem dorożka zajechała przed pałac, a z niej wyskoczył baron, wyśpiewując wesołą arię operową i wbiegł żywo na schody.

Jan wyszedł naprzeciw niego gniewny i blady i rzekł oschle:

— Właśnie w tej chwili pani hrabina skończyła życie!

Wiadomość ta spadła jak grom na egoistycznego i zimnego zresztą barona.

— Co się stało? — krzyknął przerażony — przecież pani hrabina nie była tak niebezpiecznie chora!

Nie otrzymawszy odpowiedzi, wsunął się cicho do pokoju. Nie miał odwagi zbliżyć się do swej żony, bo obawiał się, że mu ona wyczyta winę z oczu. Przyjechał bowiem wprost od Grety, której znów nakupował drogiej biżuterii, aby ją silniej dla siebie zobowiązać.

Wreszcie zebrał się na odwagę i otworzył drzwi do pokoju zmarłej.

Czy ta bólem przybita, klęcząca u łoża zmarłej postać była naprawdę Ada, ta zimna i nieprzystępna, serdeczniejszym uczuciom Ada?

Egon nie dowierzał oczom swoim, gdy ją tak w żalu pogrążoną zobaczył.

Ona go jednak spostrzegła.

Rozkazującym ruchem wskazała na drzwi i rzekła suchym, ochrypłym głosem:

— Precz stąd!

Onieśmielony oddalił się baron, nie wyrzekłszy ani słowa do żony.

ROZDZIAŁ CCXLVII.

Włamanie na plebanii

Gościńcem, prowadzącym od granicznego miasta Oderbergu ku terytorium austriackiemu, postępował mężczyzna o tak zaniedbanej powierzchowności, że na określenie jego nie można było innego wyrazu użyć jak włóczęga.

Kapelusz jego był podziurawiony, spodnie podarte, a przez dziury przeświecała brudna i również podarta bielizna. Z podartych butów wystawały brudne palce nóg, a surdut składał się właściwie tylko z dużych i małych dziur.

Wędrowiec ten, zresztą silny i wcale nieszpetny chłopak, bardzo często drogę swą przerywał, bo gdy tylko zobaczył jakąś postać ludzką z daleka, chował się do rowu i patrzył bystro w nadchodzącego, czy nie jest to przypadkiem jakiś żandarm. W tym wypadku, kładł się w rowie i przykrywał się zwiędłymi liśćmi, leżąc tak, dopóki tenże nie oddalił się znaczny kawał od niego. Było to najlepszym dowodem, że nie był on na dobrej stopie z kodeksem karnym.

Wtem zobaczył za sobą zbliżającą się postać człowieka, który mu się nie wydawał podejrzanym. Upiór nadchodzącego był mniej więcej w tym samym stanie co jego własny, a czerwony nos zdradzał pociąg jego do kieliszka. Na plecach przewieszoną miał walizę w rodzaju wędrownych czeladników i z daleka już krzyknął do niego:

— Jak się macie, panie bracie?

Na dźwięk głosu jego odwrócił się pierwszy nasz znajomy szybko i popatrzył ostro na zbliżającego się.

— Co za szopy robisz, Maks! — rzekł wreszcie szorstko.

— Do diabła, toż to Józef! — zawołał tamten — skąd się ty tu wziąłeś?

— A skąd ty? — odciął mu się Józef gburowato.

Odpowiedź ta nie smakowała panu Maksowi.

— Słuchaj — zaczął ostro, — nie zaczynaj ze mną! Jak się chcesz bić, to ja jestem zaraz gotów, ale w tym tonie do mnie nie gadaj.

Upomnienie to nie chybiło celu u Józefa.

— Co chcesz od człowieka, który przez cały dzień kęsa chleba nie miał w ustach, nie mówiąc już o piciu! — rzekł na to Józef o wiele spokojniej.

— Na to jest rada — odpowiedział towarzysz protekcjonalnie — chodź do rowu, jest to wcale dobra kanapa, jak się lepszej nie ma! C. d. n.

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKÓWKA

ułoż. Witold Mataczyński - Łysinin.

	łzy	zaw	są	ko
da	ku	Tyl	ża	sze
we	są	ne	łzy	częs
smut	u	do	praw	lu
ści	dzi	i	to	ra

Ruchem konika szachowego odczytać sentencję konikówki.

MAGICZNY ŁAŃCUSZEK

pod. „Eros".

Znaleźć i połączyć z sobą 5 wyrazów w następującym znaczeniu: 1) mieć zajęcie, 2) pułk grecki, 3) ozdoba obrazu, 4) waga samego opakowania, 5) drzewo „z czerwonymi koralami".

Łańcuszek rozerwać teraz w innych miejscach, by otrzymać A) 7 wyrazów o znaczeniu: 1) oznaka sportowa, 2) imię męskie, 3) proszę (po łacinie), 4) bogini egipska, 5) rogóżka, 6) groźna choroba, 7) imię żeńskie. B) 7 innych wyrazów o znaczeniu 1) dopływ Amazonki, 2) ogród owocowy, 3) bożek, 4) papuga, 5) termin w szachach, 6) mocny napój i 7) imię tureckie.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 28-go stycznia br.

Rozwiązanie zadań z numeru 2-go „Moich Powieści": Arytmograf: Prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie. Klucz pomocniczy: Parawan, Jerzy, Chełmno, Bieda.

Szarada: Worochta.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Bultrowicz Wacław — Gniezno, Kowalski Leon — Toruń, Kamińska Zofia — Mroczno, Gutowski Bolesław — Katowice, Hodzierski Jan — Grudziądz, Dębski Zygmunt — Poznań, Lipski Michał — Brodnica.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Lipskiemu z Brodnicy i Gutowskiemu z Katowic.

ADAM NASIELSKI

6)

Argonauta w Chicago

POWIEŚĆ

Szybko stanęli obaj za grubym pniem i czekali. Jakoż istotnie po upływie niecałej minuty ukazał się kramarz z płaskim koszem, z którego zwisały pęki sznurowadeł niby faszystowski makaron. Jegomość stanął skonsternowany w odległości kilku kroków i widocznie zastanawiał się gdzie mogli zniknąć śledzeni przezeń biały i Murzyn. Postąpił z wahaniem kilka kroków przed siebie i naraz coś uchwyciło go za oba ramiona, obróciło jak marionetkę i wciągnęło w gąszcz krzaków. Jednocześnie Cliff położył mu swą czarną dłoń na ustach.

— Mądrej miny on nie ma, captain.

„Kramarz" przestraszył się nie na żarty. Jaz nakazał mu milczenie międzynarodowym gestem mimicznym, przykładając palec do ust.

— Proszę odpowiadać cicho — na moje pytania.

— Czego pan chce...

— Kupić sznurowadła. Pasjami lubię kupować sznurowadła od ludzi, którzy mnie śledzą.

Człowiek o wystraszonym spojrzeniu zorientował się naturalnie, że to kpiny i spróbował wyrwać się, ale Cliff trzymał go mocno.

— Jak interesy — zapytał Jaz tak niewinnie, że „schwytany" nie wiedział już co o tym wszystkim sądzić. Milczał.

— Kiepsko nie bardzo — odpowiedział sobie kapitan sam stylem Cliffa — Ośmiocylindrowy Lincoln. Trzeba będzie wziąć się do handlu sznurowadłami, wcale intratne. Podatki pan płaci?

— Panie! — odezwał się handlarz niespodziewanie. — Nie macie prawa mnie zatrzymywać.

— Naturalnie, że nie mamy. Dlatego właśnie proponuję, abyśmy się udali do urzędu policyjnego i tam złoży pan na nas skargę, a my przy okazji dowiemy się, kim pan jest.

— Wolno mi jeździć Lincolnem i handlować sznurowadłami. Nikt nie może mi tego zabronić.

— Oczywiście, mój przyjacielu. — Jaz był zgodliwie usposobiony. — Ale nie znoszę, gdy ktoś mnie śledzi i chodzi za mną krok w krok przez dwie godziny. To źle wpływa na moje samopoczucie.

— Ja panów nie śledziłem.

— Masz babcię — zapytał optymista naiwnie i nie czekał na odpowiedź. — Wnukowi twojej babci grozi w tej chwili wielkie niebezpieczeństwo. ...Dlaczego pan nas inwigilował — zakończył twardo i poważnie. — Tylko bez bajek, bo nie znoszę literatów — amatorów.

Zamiast odpowiedzi Jaz ujrzał nagle jak kosz „kramarza" leci wprost na jego twarz, wyrzucony przez właściciela całym impetem. Odskoczył w ostatniej chwili, aby uniknąć uderzenia — i to wystarczyło przeciwnikowi. Wyrwał się gwałtownie pozostawiając marynarkę w rękach oszołomionego Cliffa i uciekł wprost przed siebie, na szosę. Jednym susem przeskoczył kapitan gąszcz krzaków i ujrzał jak nieznajomy wsiada do Lincolna już w biegu.

ROZDZIAŁ XI.

IDEALNY JAZ.

— Czemuś go nie zatrzymał, niedojdo! Zaprowadziłbym go do urzędu policyjnego i możebyśmy się w końcu dowiedzieli czegoś o tej zwariowanej historii, w którą się zaplątaliśmy.

— Nie puściłem go i mam dowód! — Tu oburzony podejrzeniem swego pana, Cliff potrząsnął trzymaną w ręku marynarką. — Kto mógł przypuszczać że on rzuci w pana tym koszem.

Jaz obejrzał starannie marynarkę, wywrócił wszystkie kieszenie — nic.

— Czekaj! — postanowił nagle. — Spróbujmy go przynajmniej poszukać. Mamy jeszcze ponad godzinę do piątej.

Bez dalszych wyjaśnień skierował się ku postojowi taksówek, a za nim Cliff z koszem świecidełek i sznurowadeł w ręku. Marynarkę rzucił w krzaki, lecz kosz zatrzymał. Murzyńskie przyzwyczajenie powstrzymało go przed wyrzuceniem tylu błyszczących przedmiotów. Kapitan nie zauważył tego nawet. Poznał natychmiast szofera, który ich tu przywiózł i zbliżył się do wozu.

— Wracamy, sir?

— Zaraz! Nie widział pan przypadkiem w którą stronę odjechał żółty samochód marki Lincoln.

— Z dwoma pasażerami? Jeden obdartus bez marynarki.

— Yes.

— Odjechali w kierunku miasta. Ale wzięli gaz!

— Daję dziesięć dolarów extra, jeżeli pan ich doścignie.

— Mogę spróbować, sir. I tak wracamy.

— No to jazda! Pakuj się, Cliff.

Murzyn nie dał sobie dwa razy powtórzyć i po chwili pędzili już po pustej prawie alei Lawrence Avenue w stronę centrum miasta. Jak wielkie było zdziwienie Jaza, gdy po pięciu minutach szybkiej jazdy zauważył przed sobą, w odległości może stu metrów, jadący z normalną szybkością żółty wóz Lincolna, który rozpoznał od razu. Widocznie nie spodziewali się, że będą ścigani. Spojrzał na zegarek i zadysponował:

— Proszę jechać za tym żółtym, ale tak, żeby oni się nie spostrzegli.

— Dziesięć dolarów za dogonienie już mam.

— Powiedziałem raz i nie ma celu pytać. Farewell i głowa na karku. Dodam jeszcze pięć, jeżeli wszystko pójdzie dobrze.

Ścigani skręcili w Redzie Avenue i zatrzymali się naraz przed niskim, bo zaledwie trzypiętrowym domem na Logan Square. Szofer taksówki również zahamował, lecz nie zgasił motoru. Odwrócił się do wnętrza wozu.

— Stanęli, sir. Co dalej?

— Czekać i nie gadać.

Jaz, jako człowiek morza, miał świetny wzrok i widział wyraźnie jak właśnie w tej chwili człowiek bez marynarki wysiadł i zniknął w drzwiach domu, przed którym stanął żółty Lincoln. Zaraz potem Lincoln ruszył z miejsca i szofer taksówki nie pytając, dał również gaz.

— Stop! — zatrzymał go kapitan. — Wysiadamy. Oto pańskie piętnaście dolarów. Tu dwudziestka — niech pan sobie odliczy kurs. Ile?

— Dwa — odparł „bobby" lakonicznie i nie ukrywając zdziwienia. Już dawno nie miał tak dziwnej jazdy.

— Czy pan jest z policji, sir. Może będę jeszcze potrzebny?

— Odjazd! — rozkazał Jaz krótko i uzyskał posłuch. Dopiero teraz zwrócił uwagę na Cliffa. — Co tu masz?

— Jego kosz, captain.

— Może zrobimy tak. Ty zostaniesz tu na straży, a ja wejdę do tego domu.

— Zastrzelą pana, sir. — Cliff był naprawdę zaniepokojony.

— Ja też mam broń.

— Ich może być kilku. Mają samochód, śledzą, uciekają, to na pewno niebezpieczni ludzie. Po co się narażać bezcelowo. Ten handlarz na pewno już zwiał. I o co go pan w końcu oskarży, sir.

— Masz rację, Cliff — zmienił Jaz decyzję również szybko jak ją powziął. — Wracamy. Szkoda, że odesłałem taksówkę. — Spojrzał na dom i zapamiętał sobie jego wygląd. Numer 36, Logan Square. Obejdzie się bez zanotowania. Zatrzymał pierwsze wolne „yellow-taxi" i polecił zawieźć się do hotelu Stevensa.

— Wyrzuciłem dwadzieścia dolarów na nic. Ale to głupstwo. Sedgwick zwróci — myślał Jaz w czasie jazdy powrotnej do hotelu. Nie mógł narzekać na brak urozmaicenia w Chicago. Przecież zaledwe jedna doba minęła od chwili na dworcu Van Buren, a już tyle przeżyć. Pieniądze. Przygoda. Piękna kobieta... właśnie! Przypomniał sobie i postanowił, że bez względu na jakiekolwiek polecenia Sedgwicka zadzwoni dziś wieczorem do Thelmy Murray. Jednocześnie przyszła mu na myśl dziwna instrukcja „wejścia w dom" Harolda Murraya. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Było punktualnie pół do piątej, gdy rumiany boy zawiózł ich windą na czwarte piętro. Jazon Kent przestąpił próg poczekalni ogólnej i spojrzał w zagadkową twarz Montague Sedgwicka.

— Pan tu?

— O piątej będę zajęty i dlatego wpadłem wcześniej. Czekam już pięć minut. Wejdźmy, tu nie mogę rozmawiać. — Spojrzał z ukosa na boya, który przyniósł klucze do numeru i na Cliffa, wciąż z koszem w ręku. Weszli i bankier usiadł bez pytania. Zachowywał się jak u siebie.

— Dlaczego pan nie dzwonił?

— Telefon to rzecz niebezpieczna. Nigdy nie można wiedzieć, kto podsłuchuje.

Zapalił nerwowo papierosa z własnej papierośnicy.

— Gdzie pan się włóczył, captain. Powinien pan jak najmniej zwracać uwagi na siebie.

— Ja się nie boję.

— Ale sprawa jest tajna i ja tu decyduję.

— Mr. Sedgwick. Nie jestem przyzwyczajony do takiego tonu.

Lecz zarazem przyszło mu na myśl zdanie: „Ranton nie przyjdzie jutro o dwunastej" i zamilkł.

— Tu nie chodzi o ton, kapitanie. Nie jesteśmy przecież dziećmi. Wyraził pan zgodę, wziął pieniądze i zrozumiałe, że z tym związane są pewne obowiązki. A tam, gdzie istnieją obowiązki — jest zawsze strona dysponująca i strona słuchająca.

— Więc słucham pana. — Jaz nie mógł zaprzeczyć logiki tego rozumowania.

— Dziś — Sedgwick zniżył głos — wieczorem odbędzie się u Harolda Murraya zwykłe przyjęcie dla zaproszonych gości. Musi pan tam być obecny. Uprzedzam jeszcze raz — zacisnął na chwilę wargi — ani słowa nikomu o naszym porozumieniu.

— Nie mam zaproszenia na przyjęcie.

— Zatelefonuje pan do miss Murray i poprowadzi rozmowę tak, że ona pana zaprosi. Nic trudnego.

— Co mam tam robić.

— Nic. Na razie zupełnie nic. Jeszcze nie nadszedł czas — dodał zrozumiale tylko dla siebie i nie kwapił się nawet do wyjaśnienia Jazowi, co miał przez to na myśli. Widząc jednak wpatrzone w siebie zdumione spojrzenie Kenta, wyjaśnił. — Przede wszystkim chodzi o to, aby pan stał się u Murraya człowiekiem swoim, dobrym znajomym.

— A potem nie zażąda pan chyba, mr. Sedgwick, abym włamał się do skarbca Trustu Transportowego. Nie mam pojęcia o rozbijaniu kas i nie odróżniam acetylenowej rurki wydmuchowej od rozpylacza — uśmiechnął się Jaz, gdyż w całej sprawie zaczynał dostrzegać momenty konieczne i niezwykłe zarazem.

— Proszę nie żartować — upominał go bankier. — Rzecz jest poważniejsza niż pan przypuszcza. Sądzę — zmienił nagle temat — że ma pan jeszcze dość pieniędzy.

— Starczy.

— Gdyby były potrzebne proszę bez wahania zwrócić się do mnie. Zresztą...

— O, pod tym względem jest pan correct, mr. Sedgwick. Płaci mi pan masę forsy za nic, za uczęszczanie do domu milionera. Myślę, że ma pan w tym jednak jakąś wyższą kombinację. Może chodzi tu o jakieś machinacje giełdowo-bankowe i związane z nimi posunięcia.

Montague Sedgwick spojrzał na niego uważnie.

— Pan jest za ciekawy, mr. Kent. Nie należy pytać tak wiele.

— Pomimo to żądam przecież jeszcze jedno pytanie. Koniecznie.

— Jakie?

— Czy to pan każe mnie śledzić temu fagasowi, udającemu kramarza z sznurowadłami.

Odpowiedź była trochę inna niż Jazon się spodziewał.

— Naturalnie, że pana inwigiluję. To jasne. Wiadomy mi jest prawie każdy pana krok. Lecz człowiek ze sznurowadłami...

— Ściślej: człowiek handlujący sznurowadłami.

Bankier potrząsnął głową:

— O takim nie wiem. Jak on wygląda.

— Skoro pańscy ludzie śledzą każdy mój krok — to zdanie brzmi trochę powieściowo, nieprawdaż? — to musi pan wiedzieć jak ten typ wygląda. Uganiałem się dziś za nim jakąś godzinę i wydałem około dwudziestu dolarów na taksówkę. Trochę starszy, rumiany, szpakowaty, nędzna kreatura. Mogę służyć adresem, może to panu coś powie.

Przerwał, aby zapalić papierosa.

— Czy zna pan dom nr. 36 na Logan Square, mr. Sedgwick.

Nie spodziewał się efektu swych słów. Bankier omal nie zachwiał się na nogach, zbladł i aż oparł się plecami o blat stołu. Palce te drżały i Jaz widział to wyraźnie. Wreszcie przemówił:

— Pan jest odważny człowiek, Kent.

— Kapitanie Kent, Sedgwick — poprawił Jaz z satysfakcją. — Najpierw sprytny, potem ostrożny i teraz odważny. Do kompletu brak mi jeszcze przystojności. Jak widzę, zbliżam się milowymi krokami do idealnego typu bohatera powieści. Czy wymieniony przeze mnie adres nic panu nie mówi?

Sedgwick nie uważał widać za stosowne odpowiedzieć na to pytanie. Wstał. Bardzo prędko twarz jego i cała postać przybrały normalny wygląd; tak szybko, że Jaza aż to zdziwiło. Dowodziło to, że bankier miał w wysokim stopniu rozwinięte umiejętności panowania nad sobą i tak zwanej zimnej krwi.

— Po powrocie z wizyty u Murraya zda mi pan telefoniczny raport pod tym numerem. — Wręczył Jazowi kartkę, którą ten schował niedbale. — Poza tym proszę w każdej chwili być gotowym do wykonania dalszych instrukcyj.

Było coś w głosie stojącego naprzeciw człowieka; coś, co nakazało Jazowi powstrzymać się od żartów jakie mu się nasunęły, jak zwykle. W milczeniu uścisnął podaną mu dłoń — lecz po wyjściu mr. Sedgwicka natychmiast odzyskał pogodę ducha. Nacisnął taster.

— Smoking i akcesoria, Cliff. Chcę dziś wyglądać przystojnie.

— O, do tego smoking nie jest panu wcale potrzebny, sir. Pan i tak...

— Masz babo! Teraz jestem już kompletnie idealny i nie pozostaje mi nic innego jak zwrócić się do któregoś ze światowych Wallace'ów i zaproponować mu pozowanie do jego powieści sensacyjnej. Ha!

Cliff nie rozumiał wprawdzie czemu jego odezwanie się o smokingu wprawiło jego pana w taki paroksyzm zadowolenia, lecz nie miał nic przeciwko tej radości. Skoro kapitan śmieje się tak głośno i szczerze — to jeszcze nie jest tak źle.

ROZDZIAŁ XII.

JAZ ZACZYNA ROZUMIEĆ

Starannie ubrany i ogolony Jaz wcale nie wyglądał jak byle kto — gdyby nawet nie miał pieniędzy w portfelu. Przejrzał się w lustrze i stwierdził, że może się podobać.

— Correct! — przytyknął palcami z zadowoleniem. — Pójdziesz ze mną, Cliff.

— I z rewolwerem — domyślił się wcale nie taki głupi Hallet. — Kiedy wychodzimy.

— Właśnie!! Ubieram się jak lord, a nie wiem nawet czy moja bogdanka zechce się widzieć ze mną. Może

już zapomniała o ekscentrycznym nieznajomym, przypadkowo spotkanym na arcynudnym balu i o panu, który początkowo proponował, aby ona uregulowała rachunek.

— Kobiety lubią, żeby je krótko trzymać, sir. U nas we wiosce była jedna M'Fala, która zawsze prosiła, aby ją bić. Wtedy czuła się najlepiej, jak mówiła. I inne poszły w ślad za nią i dobrze im było z tym.

— Miss Thelma Murray różni się chyba od Murzynki z plemienia ludożerców. Jak sądzisz, Cliff.

— Nie wiem, captain. Wszystkie baby są jednakowe. Murzynka, milionerka...

— Znów masz atak kaznodziejstwa, o, wielebny. Idź i przebierz się, a ja tymczasem zadzwonię.

Zasiadł przy biurku i w spisie abonentów znalazł wreszcie numer telefonu. Początkowo pomylił adres i miał okazję przekonać się, że w Chicago mieszka stu szesnastu Murrayów, którzy posiadają telefony i w tym trzech Haroldów Murrayów. Ojciec Thelmy miał telefon 73001-23 West Central. Jaz wynotował sobie te cyfry na bibule teczki biurkowej i połączył się z centralą hotelową, wydał cienkiemu głosikowi dyspozycję. Odpowiedziano już po chwili.

— Chcę mówić z miss Thelmą Murray.

— No, sir. Tu biuro. Ale mogę pana przełączyć... Zaraz....

Trwało to trochę dłużej niż „zaraz", w końcu jednak usłyszał w telefonie obcy głos niewieści i polecił wezwać do aparatu Miss Murray.

— Miss Murray gra w tej chwili w golfa na Clinton Road. Będzie tam do siódmej. O ile zależy panu, proszę tam pojechać.

— Dziękuję — wyłączył się i wrócił do saloniku, gdzie zastał już Cliffa gotowego do drogi. Wsuwał właśnie do kieszeni płaszcza swój długi rewolwer wojskowy, przy którym elegancki browning kapitana wyglądał jak pekińczyk salonowy obok brytana znad Yukonu.

Jazon Kent zastanowił się nad myślą: co będzie, jeżeli miss Murray najzwyczajniej w świecie nie zechce się z nim widzieć i odprawi go przez osobę trzecią pod byle pretekstem. To byłoby zakłócenie normalnego biegu wypadków, o ile te wszystkie wydarzenia od początku mogły być zakwalifikowane do kategorii zdarzeń normalnych: Obcy człowiek w obcym mieście wynajmuje najdroższy pokój w największym hotelu bez centa w kieszeni, zawiera znajomość z obcą kobietą i bierze pieniądze od obcego osobnika, nie wiedząc do czego właściwie zobowiązał się w zamian i podejmuje się jakby nigdy nie wejść do obcego domu w nieznanym celu. Wcale jasne — nie ma co mówić. Bardzo, ale to bardzo normalna historia. A może...

Sytuacja przypomina mu łudzącą burzę, jaką przeżył kiedyś w zatoce San Francisco, kiedy to kuter zatonął, a Jaz pływał na wiotkiej belce przez osiem godzin, tłukąc się po wzgórzach grzebieniastych bałwanów gwałtownych fal i nie wiedział, czy za godzinę nie będzie już po wszystkim. Tak i teraz... Zaprzestał rozmyślania i skinął na Murzyna.

— Łapmy każdy wiatr i niech się dzieje co chce.

— Allah akbar — rzekł Murzyn z przekonaniem, wchodząc w myśl swego pana.

— Co ja słyszę, Cliff. Zapominasz, że od pięciu lat jesteś chrześcijaninem.

Lecz Cliff - kaznodzieja nie dał się zbić z tropu.

— Bóg jest wszędzie ten sam, captain i wszystko mu jedno w jakim języku Go chwalimy.

— Jesteś, jak widzę, dobrze widziany w najwyższych sferach, skoro masz takie niewątpliwe informacje.

— Niech pan nie bluźni, kapitanie. Pan wcale tak nie myśli, jak pan udaje. Wszystko jest w ręku Boga.

— Masz rację, Cliff. Przepraszam.

Przez chwilę stał zadumany na korytarzu. „Allah akbar" — powtórzył mimo woli, dając chłopcu niemy znak, aby otworzył im windę.

— Co pan kapitan powiedział? — zdziwił się boy.

— Parter! — wrócił Jaz do chwiejnej rzeczywistości. W hallu zapytał portiera czy nie nadeszły listy i, pomimo braku uprzedniego zamiaru w tym względzie, uregulował rachunek za drugą dobę, co dało potem zgryźliwemu portierowi nową okazję do paru drwiących uwag pod adresem płatniczego — sceptyka.

— A ja panu jednak powtarzam, że ten kapitan Kent wygląda jakoś dziwnie — nie zrezygnował chudy człowiek w binoklach.

Pod tym względem miał nieco racji. Pomimo odmiennego nastawienia woli Jaz nie mógł przestać rozmyślać o sytuacji. Rozważał tysiące ewentualności i kolejno podejrzewał, że Sedgwick to gangster, kindnapper, spekulant bankowy lub zgoła wariat z mokrą głową. Nie wymyślił jednak nic i wysiadł w tym samym niewyraźnym nastroju na rogu West Taylor Street i Clinton Road.

— Gdzie tu są tereny golfowe?

Szofer taksówki spojrzał z niejakim zdziwieniem na elegancki frak pod raglanem Jaza, lecz nie powiedział nic i wskazał wysoki parkan z wielkim napisem wobec którego istnienia pytanie Jaza było właściwie zbyteczne. Wydał resztę i odjechał zadowolony na postój, a kapitan i Cliff stanęli tymczasem przed wejściem.

— Chcę widzieć się z miss Thelmą Murray.

— Jest na basenie. Please, there — wskazał posługacz i mimo to zaprowadził Jaza do dużej poczekalni i zapowiedział, że zaraz powiadomi pannę Murray o ich przybyciu. Po kilku minutach w drzwiach ukazała się Thelma Murray i na widok kapitana Kenta ukazała dwa rzędy ładnych zębów w uśmiechu. W kostiumie sportowym i gumowym hełmie na głowie wyglądała jeszcze ładniej niż w balowej sukni.

— Halo, captain! — wyciągnęła mokrą jeszcze rękę. — Oryginalna wizyta.

— Nie mogłem zastać pani telefonicznie i nie mogłem się doczekać. Więc przybyłem.

— Prawie jak Cezar. A to kto? — wskazała.

— Mój służący, Cliff. Miły chłopiec i przyjaciel, lecz straszny moralista. Kupiłem go okazyjnie za sto pesetów.

— Jak to! Kupił...

— Ściślej mówiąc: wykupiłem go. Opowiem pani kiedyś tę historię.

— Więc biedny rozbitek życiowy ma nawet służącego? Pan jest miły dziwak, kapitanie. Proszę tu zaczekać, aż ja wrócę przebrana.

— Może przeszkodziłem...

— To cóż z tego. Przecież przyszedł pan, aby przeszkodzić. Oj, kapitanie. Wstyd! Ze mną niech pan będzie szczery.

I już zniknęła, zwinna, zgrabna, taka świeża. Wniosła swym ukazaniem się inną atmosferę — radości, życia i tętna czasu. Rozpogodziła nastrój. „Ze mną niech pan będzie szczery". Więc może powiedzieć jej: Tak, miss Murray. Nie chodzi mi o panią. Jestem zimny drań i wygodnicki. Przyjąłem pieniądze od Sedgwicka, wrednej kreatury, aby, jako jego marionetka, wkraść się w pani zaufanie, „wejść w dom" pani ojca, nie wiem jeszcze po co, ale na pewno przecież nie w stuprocentowo uczciwym celu. Ja, kapitan Jazon Kent. A dlaczego — bo naprawdę jestem golec, pętak i pomimo to chcę mieszkać w luksusowym hotelu, bo życie ucieka i drugi raz już się pewno nie narodzę." To byłoby szczere? Nie! Po stokroć, nie. Przecież on chciał ją widzieć, teraz czuł to dobrze. Właśnie dlatego — tak, jedynie, — przyjął propozycję Sedgwicka. Tak... Tak...

— Pan kapitan ma teraz tak rozkrochmaloną minę, jakby się zakochał w tej ładnej panience — oblał go zimną wodą Cliff - obserwator - filozof.

— Głupstwa gadasz, czarny. Przecież opowiedziałem ci w czasie jazdy do Clarendon i potem tę całą historię i wiesz o co mi chodzi — rzekł Jaz, chcąc przekonać raczej siebie samego, gdyż za wszelką cenę nie chciał dopuścić do swej świadomości myśli, że mógłby się jeszcze zakochać w miss Murray. Za wysokie progi i...

— Niby tak. Ale ona się panu podoba. Ja to wiem na pewno. Niech pan spojrzy w lustro, captain, to mi pan przyzna słuszność.

Ciąg dalszy nastąpi.



Niedziela, dnia 23 stycznia 1938 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła w Jastrzębiu Górnym 11.00 Kompozytorzy w roli wykonawców własnych utworów (płyty) 12.03 Poranek symfoniczny z Łodzi 13.30 Muzyka obiadowa 14.45 Audycja dla wsi 15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.05 Transmisja ze Zlotu Śpiewaczego na Śląsku Opolskim 17.00 Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego 18.00 „Zemsta" — komedia Aleksandra Fredry 19.35 Muzyka taneczna 21.15 „Ta-joj" — wesoła audycja ze Lwowa 22.00 „Opowieść o Beethovenie" (II audycja).

Poniedziałek, dnia 24 stycznia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 15.45 „Z pieśnią po kraju" 16.15 Polskie utwory salonowe w wyk. Tria salonowego z Łodzi 17.15 Koncert solistów 18.10 „Uczmy się polskich tańców" — lekcję prowadzi L. Wajszczuk 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja Junackich Hufców Pracy 19.30 „Dyskutujmy: „Obywatel jako sędzia" 20.00 Na swojską nutę — koncert 21.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P.R. 22.00 Koncert symfoniczny — Transmisja z Teatru Wielkiego.

Wtorek, dnia 25 stycznia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Sonata Es-Dur Beethovena (z płyt) 15.45 „Czmu nie mam śpiewać" — obrazek z dzieciństwa Moniuszki — Audycja dla dzieci 16.15 Trio Poznańskie i Adam Raczkowski w koncercie z Poznania 17.00 „Dakar — port afrykański" — felieton 17.15 Recital fortepianowy Zygmunta Dygata 17.50 Polowanie na wilki — pogadanka 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Nieśmiertelne książki: Wieczór 9 „Bajki z 1001 nocy" 19.30 Duet mandolin z fortepianem (z Wilna) 20.00 „Fra diavolo" — opera komiczna.

Środa, dnia 26 stycznia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 8.10 Ciągnienie miliona — transmisja z Generalnej Dyrekcji Loterii Państwowej 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Muzyka z płyt 15.45 „Chwilka pytań" — audycja dla dzieci 16.15 Orkiestra Pocztowego Przysposobienia Wojskowego 17.00 „Najmniejsze okręty floty wojennej — odczyt 17.15 Historia tańca — II audycja 18.10 Uczmy się tańczyć — lekcję prowadzi I. Wajszczuk 18.35 Audycja dla wsi. 19.20 Pieśni w wykonaniu Władysławy Żelezowskiej 20.00 Od kadryla do karioki (płyty) 21.00 Koncert chopinowski w wyk. J. Turczyńskiego 21.40 „Piękno mowy polskiej" — kwadrans poezji 22.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P.R.

Czwartek, dnia 27 stycznia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Symfonia klasyczna 9 poranek muzyczny dla liceów 11.40 Śpiewa Marian Anderson — kontralt (płyty) 15.45 Rozmowa muzyka z młodzieżą 16.15 Muzyka taneczna polskich kompozytorów 17.00 „Książka i wiedza: Najnowsze książki o Dalekim Wschodzie" — odczyt 17.15 Recital fortepianowy George Sandore 18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 Słuchowisko „Finał" 19.30 „Boże Narodzenie w Słowacji" — audycja z Krakowa 20.00 Cieszmy się życiem — koncert rozrywkowy 21.45 Wacław Borowy — laureat Literackiej Nagrody Państwowej 22.00 Twórczość Karola Szymanowskiego — III audycja (transmisja z Konserwatorium Warszawskiego.

Piątek, dnia 28 stycznia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Maurice Ravl: Le Tombeau de Cuoperin — suita (płyty) 15.45 „Lwica Uango" — audycja dla dzieci 16.15 Włoskie utwory mandolinowe (z Katowic) 17.15 Ildebrando Pizetti: kwartet D-dur (I wykonanie) 18.10 „Uczmy się polskich tańców" — lekcję prowadzi L. Wajszczuk 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Pocieszne wykwintnisie" — komedia Moliera 19.35 Muzyka taneczna z płyt 20.00 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej.

Sobota, dnia 29 stycznia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Simon Barer — fortepian, i Albert Sammons — skrzypce (koncert z płyt) 15.45 „Pucybut z Montrot" — słuchowisko dla dzieci 16.15 Krakowski kwartet Schrammla 17.00 „Świat w oczach szlachcica z epoki saskiej" — felieton 17.15 Koncert solistów 18.15 Melodie operetkowe i filmowe na instrumentach solowych (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 20.00 „Jak karnawał — to karnawał" — koncert rozrywkowy 21.00 Wieczornica taneczna



CO MA WISIEĆ NIE UTONIE

W moich księgach rachunkowych już od dwóch lat wisi pański dług. Jaki z tym będzie koniec?

— Bądź pan spokojny, pańska należność w dalszym ciągu nie utonie.

URATOWAŁ DRZEWO

— Wczoraj był w naszym miasteczku taki wicher, że złamał kilkanaście drzew i przewrócił dwa domy.

— Phi, to w naszym miasteczku wczoraj wicher zrównał z ziemią wszystkie domy, wyrwał z korzeniami las i wszystkie drzewa, oraz uniósł w powietrze wszystkich mieszkańców.

— No, a ciebie?

— Mnie nie, bo zdążyłem złapać się drzewa.

— A drzewa przecież wszystkie powyrywało?

— Tego nie wyrwało, bo ja je trzymałem.

CHOROBA NAUCZYCIELA

Władek odwiedził chorego nauczyciela. Przed domem czeka na niego kolega Zbyszek, który zapytuje go o stan zdrowia wychowawcy.

— Żadnej nie ma nadziei — odpowiada Władek — pojutrze przyjdzie znowu do szkoły.

SPRYTNY SUBIEKT

Pan Kostek kupuje w sklepie materiał na płaszcz dla żony.

— Czy to czysta wełna? — pyta.

— Gwarantowana!

— No dobrze, ale tu na karteczce jest napisane „bawełna".

— To... żeby oszukać mole! — odpowiada subiekt z uśmiechem.

ABSTYNENT Z PRZEKONANIA

— Jestem abstynentem.

— Dlaczego?

— Z przekonania.

— Kto pana przekonał?

— Moja żona.

TRZEŹWOŚĆ

W stowarzyszeniu eugenicznym zacna prelegentka ma odczyt o szkodliwości alkoholu.

— A najgorsze są małe kawiarenki — powiada — w których kwitnie handel potajemny. W lokalach takich wódka jest tańsza, ponieważ właściciele nie płacą obowiązujących podatków...

W tym miejscu daje się słyszeć głos:

— Pani prelegentko, czy mógłbym dostać adres?

PRZYGODA W TRAMWAJU

Z przepełnionego tramwaju wysiadają dwie przyjaciółki. Są niezwykle wzburzone. Okazuje się, że jedną z nich okradziono w ścisku.

— Jakto, nie czułaś że ktoś ci wkłada rękę do kieszeni?

— A skąd mogłam wiedzieć, że to złodziej.

W SZKOCJI

Pewien Szkot był tak oszczędny, że nie chcąc trzymać psa, sam chodził w nocy naokoło domu i szczekał

* * *

Inny zaś, oszczędzając na ubraniu, zawsze zanim usiadł, zsuwał spodnie.

* * *

— Powiedz mi Mac-Nab, dlaczego nosisz wyłącznie słomkowe kapelusze?

— Bo po zużyciu mogę karmić nimi moje kozy.

SYN NA UNIWERSYTECIE

— Mój syn jest na uniwersytecie!

— Studiuje?

— Nie, pilnuje studentów — służy w policji.

U ADWOKATA

— Więc pan czuje się obrażony?

— Nawet bardzo. Postanowiłem wystąpić na drogę sądową.

— A cóż panu powiedział pański przeciwnik?

— Powiedział mi, żebym poszedł do diabła.

— No, a pan co na to?

— Ja? Od razu przyszedłem do pana, panie meceniasie.

SŁUSZNY POWÓD

— Słuchaj Moniek, dlaczego ty nie chcesz przyjąć Kuperwajsa na wspólnika do interesu?

— Bo on był kiedyś narzeczonym mojej żony, ale się z nią nie ożenił.

— No, to jest powód dla ciebie?

— Ja myślę. Nie chcę mieć wspólnika mądrzejszego ode mnie.

U LEKARZA

Lekarz notował:

— Ciężkie bóle głowy, kamienie żółciowe, choroba nerek... — ile pani liczy lat, pani łaskawa?

— Dwadzieścia dwa, panie doktorze.

— ...i utrata pamięci, — notował lekarz dalej.

NIEPOROZUMIENIE

Pan: — Dziewczyna.

Pani: — To ładnie.

Pan: — Tak, ale moja żona wolałaby, żeby chłopak.

Pani: — A ja od trzech tygodni szukam dziewczyny i nie mogę dostać.

Pani: — No, cóż się urodziło pańskiej żonie?

ZŁOŚLIWY

Pewna stara dama spacerując z pączkiem róży u piersi. Jakiś chłopiec na ulicy obserwuje ją tak długo, że to aż damę rozgniewało.

— Cóż ty się tak na mnie gapisz, smarkaczu?

— E nic! ja się tylko dziwię, że stary krzak jeszcze pączki puszcza.

U DOKTORA

— Więc co panu dolega?

— Czuję ogromne drżenie nóg panie doktorze.

— Czy pan nie jesteś przypadkiem kasjerem?

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a preuumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA. Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450.— złotych 1/2 strony 225.— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie